

Kielanowski, T.

Mój życiorys naukowy

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 23/3-4, 561-592

1978

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Październik 1958

W numerze:

Prof. dr med. **TADEUSZ KIELANOWSKI**

Autobiografia



T. Kielanowski
(Gdańsk)

MÓJ ŻYCIORYS NAUKOWY

1. Rodzina. Muzyka, języki obce. Pierwsza wojna światowa. Szkoła i matura we Francji; 2. Studia prawnicze w Paryżu. Lektury. Polacy w Paryżu lat dwudziestych; 3. Studia medyczne we Lwowie. Społeczny problem gruźlicy. Dyplom, doktorat, asystentura; 4. Specjalizacja za granicą: Berlin, Düsseldorf, Paryż — Instytut Pasteura, Anglia; 5. Specjalizacja we fizjologii klinicznej. Dom Akademicki dla Studentów chorych na gruźlicę. Wykład w Szwajcarii; 6. Wojna i okupacja we Lwowie. Praca zawodowa. Los profesorów. Tajne uprawianie muzyki; 7. Rok 1944. W wojsku. Powstanie Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej. Funkcje dziekana i rektora. Londyn 1949. 8. Budowa Akademii Medycznej w Białymstoku; 9. Gdańsk. Kierownictwo kliniki. Praca naukowa i społeczna, publicystyka, książki, podróże naukowe. Akademia Nauk Medycznych w Paryżu. Telefon Zaufania. Emerytura.

1

Zwykły przypadek, najzwyczajniejszy zbieg okoliczności, jakiś zamiar, który się powiódł, albo właśnie nie powiódł, wpływają często decydująco na życie każdego z nas. Losy ludzi mojego pokolenia, które przeżyło dwie wojny światowe, zależały od kierunku, w jakim przypadek kazał lecieć pociskom karabinowym i odłamkom bomb. Mnie los pozwolił dożyć starości, choć w drugiej wojnie ncsiłem nawet mundur polskiego żołnierza, a młodość i wiek dojrzały spędzałem wśród chorych na chorobę zakaźną i zabójczą.

Przypadek odegrał ważną rolę wielokrotnie także w moim życiu, ale wspominam o tym dlatego, że wyboru zawodu przypadkowi jednak raczej nie zawdzięczam. Na odwrót, przypadek wiele razy mnie od pracy we właściwym zawodzie odsuwał i odrywał.

Oto mój życiorys, moja zawodowa biografia, poprzedzona krótkim wstępem i pokazana na tle wydarzeń, których byłem świadkiem lub czasem uczestnikiem.

Urodziłem się we Lwowie 12 września 1905 roku jako drugie dziecko lekarza, Bolesława. Moja matka, Maria, była córką lekarza, dra Leopolda Lityńskiego, który wykonywał swój zawód we własnym majątku ziem-

skim na zachodnim Podkarpaciu, gdzie podobno trzeba było orać czwórką koni. Jeżeli istnieje atawizm, to stąd pochodzi może moja wielka miłość gór. Dziadka Leopolda jednak nie znam, ale dziadek Władysław Kielanowski, którego znałem i pamiętam doskonale, był postacią tajemniczą. Lubił mnie i opowiadał o Powstaniu Styczniowym i o jakichś walkach w Paryżu, gdzie mieszkał do roku 1873, ale w domu Niemile patrzano na te opowiadania, zawsze przerywane. Ponieważ brat dziadka, Karol, zginął w Powstaniu — pozostała po nim tylko bezcenna pamiątka, fotografia — a dziadek opisywał mi walki w Paryżu, przyszło mi na myśl już po drugiej wojnie, że mógł brać udział w walkach Komuny Paryskiej, lub przynajmniej z nią sympatyzować. To właśnie stało się — być może — przyczyną pewnej tajemniczości, jaka otaczała osobę dziadka, człowieka zresztą tak jak mój ojciec niewierzącego i nie praktykującego, a więc w tej epoce szokującego.

Dom nasz był zamożny mieszczańską zamożnością dziewiętnastowieczną (wiek XIX trwał wszak chyba do 1914 roku), na czym skorzystałem mówiąc od dziecka, a raczej „od zawsze” po niemiecku i po francusku, dzięki bonom i nauczycielkom, spędzającym z nami cały dzień lub mieszkającym u nas. Jako dziecko rozpocząłem też naukę muzyki i tu od razu pojawia się pierwsza okoliczność, która mogła mnie odsunąć od mojego przyszłego zawodu. Okazało się bowiem, że byłem muzycznie utalentowany, miałem dobry słuch muzyczny i wyjątkową, jak na ten wiek, pamięć muzyczną, że ręce moje były jakby stworzone do fortepianu itd. Pamiętam, że badało mnie szereg coraz ważniejszych i coraz bardziej mnie irytujących muzyków i znawców (wśród nich Jan Gall, mieszkający w tym samym domu, piętro wyżej nad nami), aż... zrobiłem piekielną awanturę (miałem sześć lat) i kategorycznie odmówiłem zgody na uczenie się gry na fortepianie. Zgodziłem się na skrzypce i grałem potem na skrzypcach przez lat kilkadziesiąt, solo, z fortepianem, w kościele w czasie cichych mszy (co za akustyka!), w kwartetach i w orkiestrze symfonicznej (2 lata), poznając na własny użytek cały repertuar klasyczny, nie wyłączając Paganiniego, ale zawsze z uczuciem, że gram źle, bo mam palce źle dla skrzypiec zbudowane i inne wady. Kiedy miałem lat 10 sądzono, że będę wirtuozem, ale kiedy miałem lat 14, rozmawiałem z serdecznym przyjacielem Stefanem Langierem — zginął w Oświęcimiu — i zapewniałem go, że muzyka, to czysta forma, że nie ma w niej treści i że nigdy bym życia takiej pustej formie nie poświęcił. Nie zmieniłem zdania do dziś i jest mi obojętne, czy dobrze czy też źle o mnie świadczy taka niezmiennosc zdania, przetrwałego z dzieciństwa do starości.

Kiedy się już przedstawiłem, mogę szybko iść dalej. Część Pierwszej Wojny Światowej spędziłem w Grazu, w Austrii, tam chodziłem do gimnazjum i udoskonaliłem niemiecki do perfekcji, ale po powrocie do Lwowa były ze mną kłopoty, bo źle pisałem po polsku, nie mogąc na przykład pojąć, jak można rzeczowniki pisać małą literą! Dzięki jedynej w życiu korepetycji (mój korepetytor kaszlał i miał wkrótce umrzeć na gruźlicę) stałem się szybko dobrym polonistą, ale znowu nie na długo. W roku 1921 wysłano mnie bowiem z grupą 18 prymusów z całej Polski do Nancy we Francji, gdzie w internacie, w bardzo surowej dyscyplinie spędziłem dwa lata i zdałem maturę. Teraz z kolei język francuski, który znałem zresztą, jak wspominałem, „od zawsze”, stał się moim językiem codziennym, a w listach do rodziców zaczęły się pojawiać błędy, surowo przez ojca wytykane i poprawiane.

Po maturze chciałem studiować medycynę, ale ojciec, koledzy ojca, wszyscy moi koledzy i znajomi we Lwowie, dokąd przyjechałem na wakacje, krytkowali mój zamiar, a nawet wyśmiewali. „Po co ci to? Żeby całe życie cudzą nędzę oglądać? A świat przed tobą otwarty, masz warunki fizyczne (mam wzrostu 186 cm, co było wówczas wzrostem wysokim), elokwencję, znasz języki, zostań dyplomata...”. Czułem bezsens tych słów, ale nie miałem dość siły charakteru, by im się oprzeć. Wróciłem do Paryża, studiowałem na wydziale prawa i równocześnie w Szkole Nauk Politycznych.

Nie było mi potem łatwo zmienić kierunek studiów, choć zorientowałem się rychło, że błędę. Prawo, podobnie jak muzyka, wydało mi się formą pozbawioną konkretnej treści; chciałem zostać lekarzem, bo treścią medycyny było w moim pojęciu rzemiosło, przynoszące uchwytne, niedwuznaczne i pożyteczne efekty. W dyskusji na podobne tematy nie broniłbym dziś tak kategorycznych sądów, wtedy byłem jednak młody, a w młodości wszelkie barwy widzi się żywo.

Lata spędzone wtedy w Paryżu były ciekawe, nie uważam dziś, by to były lata dla mnie stracone. Chodziłem pilnie na wykłady i wiele przesiadywałem w bibliotece wydziału prawa i położonej niedaleko, za Pantheonem, Bibliotece Św. Genowefy. Czytałem klasyków, klasyków filozofii i klasyków historii ruchów robotniczych, którymi zainteresowałem się dość przypadkowo.

Poznałem mianowicie nieco starszego ode mnie, bo przygotowującego już doktorat Władysława Grabskiego i zaprzyjaźniłem się z nim, mimo że — a może właśnie dzięki temu że — poza wysokim wzrostem różniliśmy się zamiłowaniem, temperamentem, charakterem (Władek miał bardzo dobry charakter), planami na przyszłość i wszystkim innym. Grabski, który później zasłynął jako powieściopisarz katolicki — Władysław Jan Grabski, pisał wtedy wiersze (w tym nie kończące się wieńce sonetów) i pisał dzieło o prekursorze socjalizmu utopijnego — Karolu Fourier. Robił to bardzo sumiennie, dawał mi do czytania dzieła Fouriera, dyskutowaliśmy (mieszkailiśmy obok siebie w tym samym pensjonacie przy ul. Lhomond nr 9) o różnych innych twórcach utopijnego socjalizmu, których prace znajdowałem łatwo w bibliotekach publicznych Paryża i przyznaję, że wrażenie, jakie na mnie, wówczas niespełna dwudziestoletniego młodzieńca, wywarła ta lektura, było duże i nieprzemijające. Było tym większe, że przygotował mnie niejako do tej lektury już Emil Zola, którego parę książek pochłonałem jeszcze we Lwowie jako uczeń i że związana z tym była niemała awantura. Powiedziałem na lekcji religii, że czytałem *Assomoir* i *Nanę Zoli*, że jestem zachwycony i poszukuję *Germinalu*, a książd katecheta kazał mi się z tego spowiadać. Spowiedź była wtedy w szkole obowiązkowa, powtórzyłem spowiednikowi co mi kazano, a on uzależnił rozgrzeszenie od przyrzeczenia, że nie wezmę więcej Zoli do ręki. Nie dałem przyrzeczenia, nie otrzymałem rozgrzeszenia, ale nie było kłopotu, bo wyjechałem właśnie do Francji i spowiedź przestała mnie obowiązywać.

Moje dalsze lektury były chaotyczne, bo czytałem teksty oryginalne, ale nie czytałem komentarzy, ani nawet przedmów do książek, jeżeli takowe były. Poznałem więc dzieła Bakunina i Kropotkina, zachwyciłem się ich szlachetnym anarchizmem, ale nie poznałem dzieł ich krytyków

piszących z pozycji socjalizmu naukowego. Rewelacją była dla mnie książka Proudhona o *Filozofii nędzy* (pamiętam, że tytuł dzieła był długi), ale miało minąć wiele lat zanim się dowiedziałem o ripości Marksa pod tytułem *Nędza filozofii*. W pewnym momencie zresztą „odkryłem” atrakcyjność dzieł Woltera i Jana Jakuba Rousseau czytanych w oryginale, a nie w szkolnych wypisach i czytankach i pograżyłem się w wieku osiemnastym, nazywanym przez Francuzów słusznie „le grand siècle”.

Mimo że wiedziałem, iż prawo porzucę, chodziłem dalej pilnie na wykłady i pamiętam z nich wiele. Szkoda, że ta forma bezpośredniego obcowania młodzieży z mistrzem przeżywa dziś w Polsce jakiś niezrozumiały kryzys.

Wiosną 1925 roku mogło się wydawać, że moja droga ku karierze dyplomatycznej, wybranej dla mnie przez rodzinę i przyjaciół rodziny, zaczyna być coraz bardziej realna. Kolega mój, a może przyjaciel Józef Mościcki, z którym studiowaliśmy razem, albo lepiej powiedzieć: z którym spotykaliśmy się popołudniami w Szkole Nauk Politycznych, zaproponował mi na okres letni zastępstwo wicekonsula polskiego w Hadze. Brat jego, Michał, był już dyplomatą, ojciec, profesor Politechniki Lwowskiej, Ignacy, zarabiał mnóstwo pieniędzy za patenty chemiczne, kupowane przez cały świat i hojnie finansował synów, a Mościccy mnie lubili i kusili karierą w swoim fachu. A jednak odmówiłem i mimo, że moja kariera naukowa i w ogóle medyczna miała być znacznie mniej błyskotliwa niż kariera dyplomaty — nigdy tego nie żałowałem. Nawet po maju 1926, kiedy papa Ignacy został prezydentem...

Z okresu moich studiów paryskich godnym zanotowania wydaje mi się jeszcze fakt, że przez dwie kadencje pełniłem z wyboru funkcje sekretarza Stowarzyszenia Studentów Polskich w Paryżu, towarzystwa na poły reprezentacyjnego, a na poły samopomocowego, istniejącego podobno już przed pierwszą wojną, a więc w okresie zaborów. Organizowałem występy polskich artystów (deklamatorce Kazimierze Rychterówny, wiolonczelisty Andrzeja Komorowskiego, pianisty Artura Hermelina i innych, wspólne wigilie, szukałem pracy dla polskich studentów itd. Z okazji obchodzonej przez cały świat XXV rocznicy odkrycia radu wybraliśmy na walnym zebraniu członkiem honorowym Towarzystwa, drugim w historii Towarzystwa po Maurycym Zamoyskim (nawet kandydatura Władysława Mickiewicza upadła!), panią Marię Skłodowską-Curię, wydaliśmy mnóstwo pieniędzy na druk pięknego dyplomu i poszliśmy do naszej uczzonej do domu. Dyplomu nie przyjęła, nie prosiła nas siadać, oświadczając szorstko, że zbrzydły jej hołdy, składane obecnie; należało o niej pamiętać, kiedy była młoda i biedna, a nie dziś. Wyszliśmy jak zmcyi, żałując że w roku 1898 nikogo z nas nie było jeszcze na świecie; ja zaś pomyślałem po raz pierwszy, ale nie ostatni w życiu, że gdybym miał zostać w przyszłości uczonej czy profesorem, nie we wszystkim naśladowałbym ludzi skądinąd wielkich i znakomitych.

3

Moja decyzja porzucenia kariery prawniczej i „dyplomatycznej” była szokiem dla mojego ojca i wielu osób z kręgu znajomych i krewnych we Lwowie. Przestałem być interesujący, stałem się zwykłym sztubakiem, rozpoczynającym studia, ale także kimś podejrzanym o bankructwo, bo „bez przyczyny nikt Paryża i kariery nie porzuca”. Tylko matka wie-

rzyła we mnie i ja sam wierzyłem w siebie. Lekceważący, protekcyjny, lekko pogardliwy stosunek do mnie tych środowisk moich znajomych i krewnych, które mnie poprzednio niemal honorowały, zbliżył mnie do kolegów ze studiów medycznych, noszących całkiem „prostackie” nazwiska. Oni też, mimo opozycji rosnących w potęgę korporacji akademickich, wybrali mnie niebawem, bo już jako studenta III-go roku, prezesem bratniaka, nazywanego się we Lwowie „Towarzystwem Wzajemnej Pomocy Medyków”.

Wspominam o tym w moim zyciorysie naukowym dlatego, że wybór ten miał wpłynąć decydująco na całe moje późniejsze życie zawodowe. Jako prezes stałem się bowiem członkiem Senackiej Komisji Zdrowia Młodzieży Akademickiej, pracującej pod pełnym inicjatywy przewodnictwem profesora neurologii dra Henryka Halbana. Na miesięcznych zebraniach poznawałem syntetycznie, lepiej niż w bratniaku, sytuację materialną i zdrowotną młodzieży akademickiej i przeraził mnie znany mi, ale nie doceniany w swej grozie fakt dziesiątkowania jej przez gruźlicę płuc, czyli, jak jeszcze wówczas mówiono — suchoty. Nie co dziesiąty, ale co piąty student przyjęty na pierwszy rok nie kończył studiów, bo także lżej chorzy, być może uleczalni, musieli studia przerywać, usuwani z domów akademickich, „żeby nie zarażali zdrowych”. O suchotach wiedziałem to i owo z opowiadań ojca-lekarza, wiedziałem, że ten i ów ze znajomych i kolegów szkolnych na nią umarł, pisali o niej moi utopijni, dziewiętnastowieczni socjaliści, ale nie wiedziałem, że groza w całej pełni trwa!

Profesor Halban wysunął projekt stworzenia osobnego domu akademickiego dla lżej chorych na gruźlicę, chcących i mogących kontynuować studia. Wyśmiano go, że nikt w takim domu, w takim nowoczesnym „leprozorium” nie zechce mieszkać, ale Halban uparcie dążył do realizacji swojej myśli i przy pomocy jednego z moich poprzedników na stanowisku prezesa Wzajemnej Pomocy Medyków dra Stanisława Hornunga, stworzył go w roku 1934. Nie wiedziałem oczywiście wtedy, że moją rolą, moim zadaniem stanie się doprowadzenie tej sprawy do końca i rozpropagowanie jej za granicą.

Na złość całemu światu zdawałem wszystkie egzaminy na piątki i ukończyłem studia w najkrótszym możliwie terminie, w pierwszej promowanej grupie. Wśród kolegów w czasie studiów — a współżyłem z kolegami bardzo dobrze, nawet serdecznie, w tym także z kolegami Ukraińcami i Żydami — miałem opinię „lewicującego liberała”, bo nie byłem korporantem i nie podobały mi się korporacje. Jakieś związane z tym niezyczliwe komentarze musiały dojść do konsulatu włoskiego, bo kiedy w roku 1929 zamierzałem wyjechać z rodzicami do Włoch (chodziło mi głównie o włoskie góry Dolomity), odmówiono mi włoskiej wizy. Pomogła dopiero interwencja profesora chirurgii — Tadeusza Ostrowskiego, w którego domu byłem częstym gościem i który zapewnił, że jestem „chłopcem z bardzo dobrej rodziny”. Przypominam, że we Włoszech rządził już wtedy Mussolini.

Po dyplomie pozostałem wierny zainteresowaniom i rozpocząłem bezpłatny staż na internie w szpitalu, z przydziałem na salę gruźliczą. Bolesnie przeżywałem śmierć młodych pacjentów na gruźlicę prosówkową, albo tak zwane wówczas suchoty galopujące, byłem pełny pomysłów terapeutycznych i badawczych, ale atmosfera szpitalna nie sprzyjała nawet dyskusji nad nimi. Ordynator zajmował się historią medycyny i wpadał

na oddział najwyżej raz na tydzień na chwilę, a jego zastępca, przemiły lekarz, do niedawna członek zespołu drużyny piłkarskiej Pogoni, która cztery razy z rzędu zdobywała mistrzostwo Polski, nie rozmawiał w ogóle na tematy medyczne. Po błyskawicznym obchodzie grał w szachy i dyskuutował chętnie na temat przyczyn upadku poziomu polskiego piłkarstwa. Zajmować się leczeniem gruźlicy — jego zdaniem — nie było warto, bo prątek otoczony jest jak czołg pancernym płaszczem i nie jest, a także nigdy nie będzie wrażliwy na żadne leki. Ciężko chorzy umrzeć muszą, a lekko chorzy mogą jechać do Zakopanego, jeżeli mają za co, „ja im podróży nie opłacam, szlach królowi”.

Zgnębiony, zbuntowany, szukałem innych bogów i dowiedziałem się, że jest wolny etat asystenta anatomii patologicznej. Nie miałem trudności w otrzymaniu go, nie było nawet kontrkandydata, rozpocząłem więc pracę na stanowisku może nie wymarzonem, ale interesującym i miałem spędzić w Zakładzie dobrych i mniej dobrych lat sześć.

Kierownikiem Zakładu był profesor Witold Nowicki, człowiek wówczas niewiele ponad pięćdziesięcioletni, a więc nie stary, ale mimo to zrutynizowany, niechętny nowinkom. Nie chciałem, aby to określenie było rozumiane jako obraźliwe, by rzucało cień na pamięć o człowieku, od którego nauczyłem się wiele, a który poniósł śmierć wraz z synem z rąk hitlerowców. Muszę jednak pisać prawdę, a prawdą jest, że Nowicki cenił najwyżej porządek, klasyfikację, jasność, mnogość materiału. Nie lubił natomiast tego, co w nauce jest takie istotne, mianowicie poddawania w wątpliwość tego co pozornie jest jasne i uporządkowane, nie lubił prób odmiennych spojrzeń czy klasyfikacji, wreszcie niczego, co by przekraczało granice morfologii opisowej, a wkraczało w dziedziny pokrewne, choćby nią była patologia czynnościowa.

Z kilkunastu prac, które wykonałem i ogłosiłem w czasie sześciu lat spędzonych w Zakładzie Anatomii Patologicznej, większość dotyczyła gruźlicy i była oparta na bogatym, ówczesnym materiale sekcyjnym. Niestety, nie wszystkie spostrzeżenia pozwalał mi profesor publikować, a nawet opracowywać. I tak widziałem na przykład bardzo często zmiany gruźlicze w ścianach oskrzeli zmarłych na gruźlicę płuc i zaczynałem rozumieć znaczenie tych zmian dla mechanizmu gojenia, lub częściej właśnie niegojenia się jam w płucach. Pokazywałem preparaty profesorowi, ale nie chciał ich nawet oglądać, nie zakładał okularów, tylko powtarzał: „to nonsens, to — co się panu wydaje — że pan widzi. W każdym podręczniku przeczyta pan, że w oskrzelach zmian gruźliczych nie bywa”. Zniechęcało mnie to do tematu, a nieraz w ogóle do pracy naukowej, a przecież w wypadku oskrzeli miałem rację, jak wykazały prace obce, publikowane znacznie później, po wojnie.

Na szczęście nie był profesor Nowicki złośliwy (a bywają tacy szefowie, bywają!) ani zbyt kateryczny i pozwolił mi wykonywać badania doświadczalne na królikach, dążące do wyjaśnienia mechanizmu krwawień w uczuleniach krwotocznych (tzw. zjawisko Shwartzmana). Wyniki, które ogłosiłem po francusku i po niemiecku dały mi pierwszy sukces naukowy w życiu i stanowią chyba trwałą zdobycz nauki, bo omawiał je obszernie w swojej monografii sam Shwartzman, a całkiem niespodziewanie dla mnie, znacznie później, bo w roku 1965 w jednej ze swoich książek Hans Selye, autor nauki o stressie.

Do pomocy przy wykonywaniu części tych prac przyjąłem za zgodą profesora, a na prośbę mojego ojca, studenta III-go roku medycyny Artura

Selzera, którego ojciec lekarz, zginął właśnie tragicznie w karetce pogotowia, zmiądzzonej na przejeździe przez pociąg. Artur okazał się tak miłym, inteligentnym i kulturalnym chłopcem, że dopisałem parę razy jego nazwisko jako współautora pracy. Spotkały mnie za to ataki ze strony coraz agresywniejszych wówczas środowisk antysemickich, które zatrzymywały atmosferę kraju. Selzer, nakłaniany do tego także przeze mnie, wyemigrował i zasłynął w Stanach Zjednoczonych jako jeden z czołowych kardiologów, profesor w San Francisco. Jego stosunek do Polski jest pełen przyjaźni, a w jego klinice szkoliło się wielu polskich kardiologów.

Nie zerwałem w tym okresie wprawdzie całkowicie z medycyną kliniczną, odbyłem nawet półroczny staż w klinice chirurgicznej i wykonywałem tam liczne zabiegi (operowałem nawet przepuklinę!), ale niepokoił mnie coraz bardziej fakt „grożącej mi” habilitacji z przedmiotu teoretycznego. Postanowiłem więc ukończyć teoretyczną edukację za granicą, a potem poświęcić się już definitywnie pracy w klinice chorób płuc.

4

Roczne stypendium Funduszu Kultury Narodowej otrzymałem bez trudności i rok akademicki 1935/36 spędziłem w Niemczech, we Francji i krótko w Anglii.

Pobyty w Niemczech, planowany na miesiąc, skróciłem do kilku tygodni, bo atmosfera w tym kraju była już nie do zniesienia. Zwiedziłem w Berlinie słynny Zakład Anatomii Patologicznej Szpitala Charité, pełen pamiątek po Rudolffie Virchowie i zaimponowała mi dokładność i precyzja pracy, a także szacunek dla czasu sił kwalifikowanych. Już wtedy, przed czterdziestu laty, nie pisali lekarze protokołów sekcyjnych, ale dyktowali je stenografistkom albo rejestrowali na dość prymitywnych, jak na dzisiejsze pojęcia, ale zupełnie dostatecznie sprawnych magnetofonach, zwanych dyktafonami. Wszystko było nazajutrz czyściutko przepisane na maszynie przez sekretarki.

W Berlinie widziałem przypadkiem zupełnie z bliska Hitlera. Był w kinie na premierze filmu „Unsere Wehrmacht” w dniu Sylwestra 1935; jego wyjścia oczekiwał przed kinem tak luźny tłumek, że mogłem się przedostać bez trudu do pierwszego rzędu, strzeżonego przez kilku czarno umundurowanych SS-manów. Hitler wydał mi się znacznie niższy niżby wynikało ze zdjęć, a twarz jego, jakże dobrze światu już wtedy znana, była już wówczas uderzająco szaro-blada, bezbarwna.

Zwiedziłem jeszcze zakłady naukowe w innych miastach, po czym zgodnie z planem rozpocząłem pracę u znakomitego specjalisty patologii gruźlicy, profesora H. Huebschmanna w Düsseldorfie. Znałem doskonale prace Huebschmanna, w tym jego książkę, mówiłem dobrze po niemiecku, a to ułatwiło mi szybkie nawiązanie kontaktu z człowiekiem zacnym, łagodnym i mądrym, czyniącym duże wysiłki, żeby wyglądać ostro, sztywnie, a więc „stramm”, jak na niemieckiego profesora i w ogóle Niemca tej epoki przystało. W rzeczywistości profesor bał się asystentów, studentów, władz akademickich, całego świata. Woził mnie swoim samochodem do różnych szpitali Nadrenii, rozmawialiśmy na różne tematy, ale nie na tematy polityczne, bo i mnie się bał. Raz tylko, pamiętam, śmiał się profesor serdecznie, kiedy zwróciłem w rozmowie uwagę na dziwny dla mnie fakt, że wśród profesorów Akademii Medycznej (nie był to uniwersytet, tylko samodzielna „Medizinische Akademie”) jest wielu bardzo młodych

i wielu dziwnie starych nauczycieli akademickich. Wyjaśnił mi, że po usunięciu z katedr profesorów Żydów, obsadzono wakanse ludźmi bardzo młodymi (tu się profesor trochę skrzywił) lub profesorami „ekshumowanymi”. Ci ostatni — to emeryci, powołani ponownie do pracy, jak np. profesor Czerny, do niedawna czołowy pediatra europejski.

Naukowo w Zakładzie, poza kontaktami z profesorem, niewiele korzystałem, bo jak tylko profesor Zakład opuszczał, zdejmowali niemieccy asystenci kitle i pozostawiali w swoich mundurach SA, które większość nosiła na codzień, rajcowali i rozchodzili się. Asystenci obcokrajowcy — Holender, Argentyńczyk, dwóch Szwajcarów — rozpoczęli zaraz najczęściej w świetlicy ...międzynarodowy turniej ping-pongowy. Odniosłem i ja w nim parę międzynarodowych sukcesów sportowych, ale jako że nie po to przebywałem w tym niegościnnym kraju, uzgodniłem z konsulem polskim w Essen, że skrócę pobyt. Mapy „Grossdeutschland”, obejmujące polski Śląsk i Pomorze, wieszane w korytarzu Zakładu, uliczne pochody, wymagającego szybkiego uchodzenia w boczne ulice, żeby nie być zmuszonym do pozdrawiania ich „aryjskim ukłonem”, złośliwości docenta Randeratha, pierwszego adiunkta Huebschmanna — a potem, w czasie wojny, źle zapisanego przedstawiciela medycyny hitlerowskiej w Krakowie — przyspieszyły moją decyzję.

W Paryżu, jakże mi dobrze znanym, choć w stosunku do lat dwudziestych zmienionym, zamerykanizowanym, poczułem się od razu dobrze i w domu. W Paryżu miałem zresztą przyjaciół i bliską rodzinę. Było tu gwarno, trochę brudno, ale nikt nigdzie nie maszerował, nie tupał nogami i nie krzyczał „Heil!”.

Plan mojej pracy w Laboratoires de la Tuberculose Expérimentale Instytutu Pasteura miałem korespondencyjnie ustalony, przyjęto mnie więc bez żadnych formalności, wyznaczono miejsce w pracowni, przedstawiono komu trzeba, w tym profesorowi Jean Marie Guérin, czyli panu „G” ze szczepionki przeciwgruźliczej BCG, której był współwynałazcą. Był to bardzo surowo wyglądający pan z francuską, dziewiętnastowieczną bródką, patrzący na wszystkich nieufnie, bo każdy niezajomy mógł być chory na gruźlicę i zainfekować mu szczepy, z których obojętnie produkował szczepionkę, rozsyłaną wtedy tylko przez niego na cały świat. Dyrektor Instytutu Pasteura — Louis Martin w ogóle mnie nie przyjął, nie przyjmował bowiem nikogo; jak się dowiedziałem, bał się grypy, a każdy obcy mógł mu przynieść jakąś złośliwą jej odmianę... Moim bezpośrednim szefem pracowni był Dr Frédéric Van Deïnse, naturalizowany Francuz holenderskiego pochodzenia, człowiek łatwy, serdeczny, ludziom życzliwy. Był bardzo pobożny, a w jego pracowni wisiał obrazek Matki Boskiej... Częstochowskiej; będąc w Polsce w roku 1934 na Międzynarodowym Kongresie Przeciwgruźliczym odbył pielgrzymkę do Częstochowy i przywiózł sobie ten obrazek.

Atmosfera pracy w Instytucie pozostawiła mi najmiłsze wspomnienia, choć i tam dochodziły echa coraz bardziej napiętej sytuacji politycznej w Europie. Spotykaliśmy się wszyscy, nieraz i trzydzieści osób, profesorowie, asystenci, praktykanci, Francuzi i obcokrajowcy, a także laboranci w dużej sali na parterze naszego budynku (w tym czasie najnowsze w Instytucie Pasteura), gdzie przygotowane były do sekcji i jałowego pobierania materiału króliki i świnki morskie, padłe w ciągu minionej doby. Była ósma rano, wszyscy czytali już w metrze po drodze z domu poranne gazety, a teraz rozpoczęli z francuskim temperamentem ko-

mentarze i dyskusje. Jako że Polska uchodziła wtedy nieomal za sojusznika Niemiec, atakowano ministra Becka i... mnie! Musiałem się odcinać ostro, byle dowcipnie, po czym na całą resztę dnia o polityce zapomniano.

Wykonałem w Instytucie piękną pracę na temat bakterii gruźliczej u królików i ogłosiłem ją wspólnie z Grekiem Ewangelosem Lukididem po francusku, a potem po polsku. Skorzystałem z pobytu i pracy w Instytucie pod każdym względem bardzo dużo, tak fachowo, jak i organizacyjnie. Nie tu miejsce na obszerne omawianie różnych wrażeń, które odniosłem, ograniczam się więc do wspomnienia dwóch zasad, które wtedy obowiązywały. Pierwsza, to stała współpraca i współobecność całego zespołu, bez wydzielania specjalnych, zamkniętych gabinetów dla szefów, kierowników czy profesorów. Druga, to obowiązująca teoretyków, patologów, bakteriologów i innych, zasada utrzymywania kontaktu z medycyną kliniczną. Co najmniej raz w tygodniu obowiązywała więc wszystkich wizyta w Szpitalu Instytutu Pasteura. O słuszności tych zasad pozostałem przekonany i trwam przy tym nadal, że inspiracje pomysłów prac z zakresu tzw. teorii medycyny, wynosi się z sali szpitalnej.

W innych pracowniach Instytutu Pasteura, zajmujących się odmienną problematyką, poznawałem i znałem wielu ciekawych ludzi. Jednym z nich był Polak z Krakowa dr Ludwik Gross, który pracował — z przerwami — kilka lat u profesora Konstantyna Levaditiego. W Polsce Gross znany był z tego, że redagował tygodniowy dodatek medyczny w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” („Ikacu”), a w dodatku tym pisał wiele o sobie i swoich pracach, przy czym w okresie pobytu w kraju umieszczał na samym środku strony zawiadomienie, że „po powrocie z Paryża przyjmuje znowu od 3 do 5-tej”. Dokuczano Grossowi, żartowano sobie z niego, bo się uparł, że w etiologii nowotworów odgrywają rolę wirusy. Pamiętam, jak mu autorytety odpowiadały w naszej prasie fachowej, że „jedyne, co wiemy naprawdę o nowotworach, to fakt, że wirusy **nie** odgrywają w ich etiologii żadnej roli!”. A jednak Gross, człowiek prywatnie miły, serdeczny i właściwie skromny, choć uparty — udowodnił później w Ameryce, że miał rację i wyosobnił nawet wirusa, wywołującego w eksperymencie białaczkę myszy, zdobywając uznanie i sławę.

Postacią godną zapamiętania był też w Instytucie słynny gastronom, fizjolog — profesor Edward Pomian-Požerski, chętnie widujący Polaków pracujących w Instytucie, żeby z nimi porozmawiać pięć minut po polsku. Po pięciu minutach wyczerpywał mu się zasób znanych mu słów i przechodził na francuski. Pożerskiego spotkałem znowu po wojnie i należą do tych szczęśliwców, którzy brali udział w bankietach, przygotowywanych w luksusowych hotelach pod osobistym nadzorem profesora — ale to już sprawa przekraczająca mój życiorys naukowy.

Stypendystami Funduszu Kultury Narodowej w Paryżu byli — w tym samym czasie co ja — również moi lwowscy koledzy: Wiktor Bross, chirurg i Piotr Kubikowski, farmakolog. Spotykaliśmy się często, dzieliliśmy się spostrzeżeniami, a w kwietniu 1936 razem... głodowaliśmy, bo w Polsce wprowadzono ograniczenia dewizowe i po prostu nie przysłano nam pieniędzy. Konsulat i ambasada były bezradne, miały własne, podobne kłopoty. Przez cały kwiecień jadalśmy więc tylko raz na dobę obiad w taniej restauracji, napychając sobie przy okazji kieszenie i teczki chlebem, za który się we Francji w restauracji nie płaci.

Wspólnie z Brossem wysłuchaliśmy w Collège de France całego cyklu wykładów profesora chirurgii René Leriche'a, jednego z twórców, a mo-

że w ogóle twórcy chirurgii bólu. Do dziś pozostałem pod ich wrażeniem. Od czasów Leriche'a rozwinęła się farmakologia walki z bólem i zmieniło się chirurgiczne leczenie bólu, ale istnieje czasem wśród lekarzy coś w rodzaju obserwacji bólu zamiast zwalczania bólu. Postawy takiej nie tolerował Leriche i wiernym byłem pod tym względem przez całe życie jego uczniem jako klinicysta i nauczyciel akademicki. Sam Leriche, naukowo na pewno wielki, był fizycznie mały, gruby, miał łysinkę otoczoną zabawnym wianuszkiem włosów, a raczej loczków, a wykładając o tym, jakie bóle znosili jego pacjenci (ranni i amputowani w czasie Pierwszej Wojny Światowej), schodził z katedry i płakał, szlochał, potem wycierał łzy, przepraszał słuchaczy i kontynuował wykład.

Krótki pobyt w Anglii był moją pierwszą wizytą w tym kraju, ale na szczęście nie ostatnią. Zrodzona wówczas sympatia do angielskiej medycyny i nie tylko medycyny, miała się stać czymś trwałym i jeszcze będą o niej pisał. Tymczasem zaimponowały mi inteligentnie zorganizowane muzea medyczne, świetne instytuty badawcze z miłymi ludźmi, a straszły szpitale z ponurymi salami na kilkadziesiąt osób. Obok lekko chorych, obok nowo przyjętych, leżeli też najciężej chorzy i codziennie ktoś na tych salach umierał. Jeszcze bardziej przerażał mnie przepisowy chłód angielskich pielęgniarek i wytworna, schematyczna bezosobowość matron, czyli pielęgniarek przełożonych.

Niedobre wspomnienia łączą mi się z rokiem akademickim 1936/37, który spędziłem jeszcze jako asystent anatomii patologicznej, choć oświadczyłem profesorowi lojalnie, że pragnę się poświęcić pracy klinicznej. Profesor miał o to do mnie duży żal, jako że nikogo dotąd poza siostrą swojej żony — dr Heleną Schuster — nie habilitował i liczył na mnie; nasze pożegnanie nie było, niestety, serdeczne, ale nie chciałem spędzać życia wśród zwłok. Wobec tego że odchodziłem, nie chciał profesor wprowadzić w Zakładzie żadnego z drobnych udogodnień, które podpatrzyłem zagranicą, a to sprawiało mi, oczywiście, także przykrość.

5

W Klinice Chorób Wewnętrznych, dokąd pragnąłem się przenieść, nie było wolnych etatów asystenckich ani na Oddziale Gruźliczym, ani na żadnym innym. Zaproponowano mi jednak bezpłatną asystenturę tytułarną, a równocześnie pracę płatną wraz z mieszkaniem (pokojem) i pełnym utrzymaniem w stworzonym już przez zmarłego profesora Halbana, a z braku stałego lekarza kulejącym, Domu Akademickim dla chorych na gruźlicę, inaczej Domu Posańtoryjnym. Choć pobory wynosiły poza utrzymaniem tylko 80 złotych, przyjąłem pracę chętnie, bo wiedziałem, że teraz wreszcie będę robił to, czego całe życie pragnąłem.

Kierownikiem kliniki był profesor Roman Rencki, na pewno nieprzeciętnej miary internista, czego dowodem może być choćby fakt, że po wojnie, mimo hitlerowskich merderstw, normalnych zgonów i emigracji, aż dziewięciu jego asystentów, czynnych w roku 1939, objęło katedry na wydziałach lekarskich. Byli to profesorowie: Antoni Falkiewicz, Mieczysław Gamski, Witold Grabowski, Stanisław Hornung, Józef Japa, Józef Kaniak, Tadeusz Kielanowski, Aleksander Kleczeński i Włodzimierz Musiał.

Kiedy zgłosiłem się do pracy w październiku, przyjął mnie Rencki w swoim gabinecie i przerzucił odbitki moich prac, które mu w liczbie około dwudziestu wręczyłem. Rencki znał mnie, oczywiście, z moich wy-

stępów w Towarzystwie Lekarskim, a także z czasów, kiedy byłem jako student prezesem Wzajemnej Pomocy Medyków, ale Rencki nie był nigdy serdeczny, ojcowski czy koleżeński, robił zawsze wrażenie zirytowanego. Po tej wstępnej rozmowie nigdy mnie już nawet nie zauważał, tym bardziej, że nie chodził na III piętro kliniki na Oddział Gruźliczy, nadbudowane przed paru laty i wyposażone... za prywatne pieniądze profesora Renckiego! Profesor należał do tych zupełnie wyjątkowych, bardzo zamożnych ludzi, którzy nie byli skąpi; finansował Wzajemną Pomoc Medyków, fundował stypendia dla zdolnych studentów, ofiarowywał wysokie kwoty jednorazowo ludziom w jakichś bardzo trudnych sytuacjach, wszystko to pod warunkiem, że obdarowanych nigdy na oczy nie zobaczy. A więc dobry człowiek pod szorstką powłoką? Nie wiem, może. Niestety, jednej krzywdy, którą mi wyrządził w tragicznym momencie, nie mogę mu zapomnieć i opiszę ją w dalszej partii życiorysu.

Praca ułożyła mi się od razu dobrze i interesująco, tak w klinice, jak i w Domu Posańtaryjnym, który zajmował dawny Dom Medyków przy ul. Pijarów 35, dwieście metrów od kliniki. Dom zastałem już przebudowany, czysty, porządkny; o estetykę zadbałem sam. Szybko poznałem 90 pacjentów, studentów i studentki wszystkich lwowskich wyższych uczelni, lekko, ale także ciężiej chorych na gruźlicę płuc. Studentów badałem o pół do ósmej rano, o ósmej byłem w klinice, w południe znowu w Domu Posańtaryjnym, po południu w klinice i tak dzień po dniu. Codziennie jeździłem jednak także do domu rodziców, bo u matki, operowanej przed 9 laty z powodu raka sutka, pojawiły się przerzuty w kręgosłupie i od czasu do czasu musiała leżeć w klinice, celem naświetlania promieniami Roentgena; mimo leczenia postępowało porażenie obu nóg.

Oddział Gruźliczy w klinice prowadził adiunkt dr Stanisław Hornung i jemu też podlegał nadzór nad moim Domem Posańtaryjnym, zwanym popularnie „domem C”, bo „domy A” — to były normalne domy akademickie, a jakieś „domy B” miały kiedyś powstać dla rekonwalescentów po różnych chorobach. Z Hornungiem miałem potem pracować dziesięciolecie, aż do jego śmierci w 1967 roku, przyjaźnie, pożytecznie, choć w okresie docierania się naszych charakterów bywały małe spięcia.

„Dom C” okazał się instytucją znakomitą. Studenci leczyli się, kontynuując i kończąc studia. Pacjentów obowiązywał regulamin, wymagający punktualnej obecności na trzech obfitych i znakomych posiłkach, leżenia przez dwie godziny po obiedzie w pokojach (dwu- i trzyosobowych) przy otwartych oknach, gaszenia świateł wieczorem o dziesiątej i — oczywiście — pedantycznego stosowania się do zaleceń lekarskich, a więc terminowych badań, dopełnień odmy, przyjmowania leków itd. Poza tym mieli obowiązek normalnego studiowania i rzeczywiście normalnie albo nawet lepiej niż normalnie studiowali. W chwili, kiedy piszę te słowa, mija czterdzieści lat od czasu przejęcia przeze mnie kierownictwa tego pólśanatorium, przez kraj nasz przeszła burza wojenna i nie znam losów większości moich byłych pacjentów. Wiem jednak, że ówczesny pacjent — student medycyny T.K. — żyje i jest profesorem okulistyki, zmarły w roku 1976 Prof. M.K. był znakomitym kardiologiem i długoletnim, zasłużonym redaktorem Polskiego Tygodnika Lekarskiego, K.I.C. żyje i jest profesorem higieny, J.M. jest wybitnym inżynierem konstruktorem w Warszawie, zaś W.Z. był do śmierci docentem Politechniki w Gliwicach. A wszyscy oni powinni przecież byli zostać usunięci z uczelni jako chorzy na gruźlicę.

Nigdy żadna praca, wykonywana poprzednio, nie dawała mi takiego zadowolenia jak praca lekarską w tym Domu Posańtoryjnym. Jadałem na wspólnej sali z pacjentami, przy osobnym stoliku, ale codziennie w towarzystwie innego studenta, zapraszając zawsze takiego lub taką, których stan zdrowia albo po prostu wygląd — mogący świadczyć o jakichś kłopotach — mnie niepokoił. Byli to, oczywiście, często chorzy zakaźnie, ale przecież wśród takich samych spędzałem czas w klinice. Nigdy się gruźlicy nie bałem i nigdy na żadną postać gruźlicy nie chorowałem, ale plotka oskarżała wtedy wszystkich ftyzjatrów o chorobę własną, co i mnie nie oszczędzało. Mało się tym przejmowałem.

W owych czasach nadmiernego i nieprzyjemnego, bo pełnego złości i nietolerancji rozpolitykowania młodzieży, stanowił „dom C”, będący przecież także domem akademickim, oazę spokoju, kultury i tolerancji. Nic nie było „zabronione” (nie znoszę zresztą tego słowa i pojęcia) i dyskusje polityczne odbywały się; niektórzy studenci jawnie przyznawali się do swoich przekonań i może coś więcej niż przekonań komunistycznych (Klaudiusz Kowalczyk, Mikołaj Koczurko i in.). Kiedy jednak raz dwaj studenci-pacjenci pobili się pięściami (jeden z nich, jak się okazało, obraził samą Matkę Boską!) wyrzuciłem obu, choć z wielkim żalem, bo wiedziałem, czym im to grozi. Po trzech dniach dałem im przez ich kolegów do zrozumienia, że mógłbym ich przyjąć z powrotem, ale pod warunkiem mieszkania odtąd razem w dwuosobowym pokoju. Oczywiście, zgodzili się i miałem odtąd komunistę i korporanta jako parę serdecznych przyjaciół.

W ciągu tych dwu lat, do samej wojny, uczyłem się od piątej do pół do ósmej rano języka włoskiego, bo ftyzjatria włoska przewodziła wtedy światu. Rozumiem dziś po włosku, czytam swobodnie, ale mówić nie umiem.

W maju 1939 — już po zerwaniu paktu o nieagresji z Polską przez Hitlera — pojechałem do Zurychu z wykładem na temat lwowskiego pół-sanatorium akademickiego, pierwszej instytucji tego rodzaju na świecie. Wykład wygłosiłem po francusku na Międzynarodowym Kongresie Zdrowia Młodzieży Akademickiej, dyskusja i zainteresowanie były żywe, a francuski lekarz — dr Daniel Douady — wziął ode mnie tekst wykładu do druku i zaprosił mnie do Paryża na październik. Nie muszę tłumaczyć, dlaczego w październiku 1939 do Paryża nie pojechałem, ale po wojnie dowiedziałem się, że moje myśli, zawarte w wykładzie wydrukowanym w Paryżu, zaowocowały nadszpedzanie. Wróć do tej sprawy.

6

Wojna stwarza przerwę w każdym niemal naukowym życiorysie i gdy bym był tylko pracownikiem nauki, mógłbym zapewne skreślić tych kilka lat wojny i okupacji z moich naukowych wspomnień.

Byłem jednak zawsze przede wszystkim lekarzem i wciąż powtarzałem sobie i swoim uczniom, że nawet w klinice, choćby naukowo najambitniejszej i twórczej, pierwszym obowiązkiem lekarza pozostaje zawsze leczenie chorego, drugim szkolenie studentów i lekarzy, a dopiero trzecim praca badawcza.

Pracowałem jako lekarz całą wojnę, a choć będąc w mundurze opatrywałem także czasem rannych lub wizytowałem szpitale polowe, frontowe i ewakuacyjne, pracowałem głównie w swojej specjalności, to jest w szpitalach i klinikach chorób płuc.

„Dom C” uległ szybko likwidacji. Za czasów radzieckich pozostałem asystentem (nazywało się to „ordynator szpitalny”) oddziału gruźliczego kliniki (zwanej „fakultecką”) Chorób Wewnętrznych Państwowego Instytutu Medycznego we Lwowie. Dziekanem Wydziału Lekarskiego był mój serdeczny przyjaciel — profesor Bolesław Jałowy, z taktem i rozumem likwidujący w zarodku ewentualne konflikty między polskimi lekarzami, a nie znającymi zwyczajów i warunków lokalnych akademickimi władzami radzieckimi.

W zasadzie obowiązywała nas praca naukowa, ale w praktyce nie było ku temu nastroju; w świecie toczyła się wojna i tylko o niej potrafiliśmy myśleć i dyskutować po wykonaniu podstawowej pracy rozpoznawczej i leczniczej.

Mimo takich czy innych zmian administracyjnych istniał Wydział Lekarski ze swoimi profesorami i asystentami, w mało zmienionym składzie personalnym, bo władze otaczały profesorów szczególnym szacunkiem. Profesor Nowicki — martwił się o syna Jerzego, młodego lekarza, który — zmobilizowany w 1939 r. został internowany przez władze radzieckie. Intensywne starania Nowickiego o zwolnienie syna zostały uwieńczone powodzeniem późną wiosną 1941 roku, ale nikt nie przeczuwał, że miało to mieć następstwa dla niego tragiczne.

W czerwcu 1941 Niemcy napadły na Związek Radziecki i niebawem rozpoczęła się okupacja Lwowa, równie tragiczna jak okupacja wszystkich innych, podbitych miast. Katowanie i zabijanie Żydów rozpoczęło się natychmiast. Wydział Lekarski zamknięto wraz z całym uniwersyte-tem, nas zwolniono z pracy, a kliniki zajęli dla swoich rannych Niemcy.

Na szpital dla ludności chorej na gruźlicę oddano nam budynek przy ul. Teatyńskiej 1, będący kiedyś Zakładem dla Nieuleczalnych im. św. Wincentego à Paulo, a ostatnio więzieniem dla nieletnich. Dyrektorem szpitala został nieprzyjemny lekarz z Trembowli dr Tomasz W., nie odzywający się nigdy ani słowem po polsku; w roku 1943 mianowano go lekarzem Ukraińskiej Dywizji SS-Galizien i wtedy odetchnęliśmy z ulgą, bo nowym dyrektorem został przeznacny kolega dr Grzegorz Czemerysz, mówiący równie dobrze i równie chętnie po polsku i po ukraińsku, człowiek wolny od wszelkich nienawiści, przede wszystkim lekarz.

Jako że dr W. był półwiejskim praktykiem i nie miał pojęcia o fizjologii, został Hornung fachowym kierownikiem całości, ja zostałem czymś w rodzaju pierwszego adiunkta („Oberarzt”), a oddziały prowadzili dr Wojciech Batycki, dr Adam Wróblewski i inni, w tym z początku jeszcze lekarze Żydzi, a wśród nich jeden z seniorów, znakomity fizjoterapeuta dr Zygmunt Oxner. W doskonałym laboratorium, które udało nam się z biegiem czasu stworzyć, pracował jedyny kolega żydowskiego pochodzenia, któremu udało się wyjść z wojny z życiem dzięki „aryjskim” rysom twarzy i świetnej znajomości niemieckiego, dr Eryk Obständer. Wiele czasu spędzałem z nim na ciekawych rozmowach na wszelkie możliwe tematy; pożywialiśmy się jajkami, przeznaczonymi w zasadzie na pożywki bakteriologiczne, a smażonymi na oleju rycynowym, którego mieliśmy olbrzymie, do niczego poza tym nie służące zapasy. (Olej rycynowy traci w temperaturze smażenia przykry zapach i swoje znane własności farmakologiczne). Odwdzięczałem się za przyjęcia lekcjami religii, dzięki którym kolega Eryk znał teksty polskich, katolickich modlitw aż podejrzenie dobrze. Kiedy Gestapo zabrało z domu Oxnera (o czym doniósł nam jego syn, który zdołał umknąć), polecałem go szu-

kać na plac Misjonarski, niestety bez skutku, bo były tam tysiące połamanych, pobitych, pokrwawionych Żydów, stojących lub prowadzonych przez policjantów w grupach, czasem leżących na ziemi, załadowanych już na samochody itd. W licznych ogniskach porozpalanych na ulicach, płonęły opaski z gwiazdą Dawida i żydowskie dokumenty pracy.

Przez cały okres okupacji trwała rozbudowa i przebudowa naszego szpitala, nazywanego miejską kliniką. Ściągaliśmy do pracy w klinice kogo się tylko dało, żeby mu dać „Ausweis” (dowód zatrudnienia) i dać mu coś zarobić. Przybył więc dr Tadeusz Korzybski, biochemik, później doszedł Mieczysław Wierzuchowski, fizjolog, Oddział Chirurgiczny prowadzili docent Wiktor Bross i dr Stefan Koczorowski itd. Było też wielu młodych lekarzy Ukraińców, serdecznie z nami współżyjących. Moi asystenci — Ukraińcy — Jerzy Manacki i Stefania Terszakowiec byli karani przez dyrektora W. za to, że mówili do mnie po polsku, ale mimo to mówili po polsku nadal. Historie choroby, *nota bene*, wolno nam było pisać tylko po niemiecku albo po ukraińsku. Moje były ukraińskie, ale mam nadzieję, że mi przyjaciele ukraińscy zechcą wybaczyć jakość języka.

Jako że z poborów szpitalnych nie można było nawet najskromniej żyć, praktykowałem wtedy po raz pierwszy w życiu prywatnie, zarabiając także trochę w naturze w postaci jajek, kur, ryb, ba! — parę razy nawet gęsi. Zdarzyło mi się mieć wśród pacjentów ukraińskiego chłopca analfabeta, który umiał zarabiać mnóstwo pieniędzy hurtowym handlem owocami, dopeśniał u mnie odmę, doskonale płacił, ale tytułował mnie... panem kardynałem! Nie miałem pojęcia, skąd mu to przyszło na myśl, kto mu to podsunął, a śmieszyło mnie to tak, że nie potrafiłem mu zwrócić uwagi. Dopiero kiedy zobaczyłem go w poczekalni obok pacjentki Ukrainki, inteligentnej, sympatycznej i dobrze mi znanej, poprosiłem ją, żeby go jakoś pouczyła, nie powodując jednak jego nadmiernego zażenowania. Udało się, ale wspomnienie zostało, bo był to mój najwyższy tytuł w życiu i nawet tytuł magnificencji już mi nie zaimponował w przyszłości.

Nie chciałem odbiegać nadmiernie od tematu, którym jest mój życiorys naukowy i zawodowy, nie wdaję się więc w opisy okresu wojny i okupacji we Lwowie. Pomiąłem wiele, w tym sprawę aresztowania przez hitlerowców lwowskich profesorów, chcę teraz tylko wspomnieć raz jeszcze moich dwu nauczycieli, profesorów Nowickiego i Renckiego.

Nowickiego aresztowano i — jak się potem okazało — natychmiast rozstrzelano wraz z jedynakiem Jerzym, którego krótko przedtem, jak pisałem, z takim trudem potrafił sprowadzić do Lwowa.

Rencki spędził dwa lata w więzieniu radzieckim, nikt nie wiedział dlaczego. Rencki nie był w ogóle politycznie zaangażowany, a zresztą nawet politycznie prawicowo zaangażowanych profesorów władze radzieckie nie dyskryminowały; wszak profesor Bolesław Jałowy mianowany nawet został dziekanem, choć nie miał opinii sympatyzującego z lewicą. Rencki miał jednak wielu wrogów; oskarżono go o spekulacje gruntami i parcelami w Morszynie. O hojności Renckiego na szlachetne cele społeczne, fundowane stypendia itd. prawie nikt, jak pisałem nie wiedział, bo tak on sobie życzył, natomiast wszyscy znali jego sposób odnoszenia się do ludzi bezpośrednio. Kiedy na przykład moją matkę w czasie walk pod Lwowem we wrześniu 1939 przyniosła w nocy straż

pożarna do kliniki, bo dom zaczynał się palić, a matka była porażona i, jak pisałem, w tej klinice okresowo naświetlana — Rencki zrobił rano w czasie obchodu w obecności pacjentki awanturę o to, że przyjęto ją bez jego zgody i wiedzy. Kiedy powiedziałem, że był pożar i dom pod ostrzałem, odparł, iż „trzeba było w takim razie zawieźć do hotelu, a to nie jest hotel”. Jedyne raz wtedy, w czasie długiej, śmiertelnej choroby moja matka zapłakała.

Gdy Rencki wyszedł z więzienia w nocy w czerwcu 1941 w czasie walk o Lwów, po napaści hitlerowskiej na Związek Radziecki, nie mogąc się dostać do domu, zaszedł do mojego ojca do naszego mieszkania przy ul. Rutkowskiego 23. Tam się nim zajęto (matka moja już dawno nie żyła), umyto go, przebrano w moją czystą bieliznę i tam przenocował w moim łóżku.

Sam Renckiego nie spotkałem, bo byłem wtedy dnie i noce w szpitalu, opatrując rannych. Jako że go w kilka dni potem hitlerowcy zabrali i rozstrzelali, nie widziałem go już nigdy, a ostatnim spotkaniem pozostało spotkanie z września 1939 przy łóżku mojej umierającej matki.

We wrześniu i częściowo w październiku 1943 byłem poza Lwowem, bo groziła większa wyspa grupy AK, której byłem członkiem. Nie byłem więc na pogrzebie przyjaciela Bolesława Jałowego, zamordowanego na ulicy przez ukraińskiego nacjonalistę. Pacjent Ukrainiec, który mi zawdzięczał zdrowie, a może życie, poinformował mnie wkrótce potem, że kolejnymi ofiarami polskimi będą Profesorowie — Tadeusz Baranowski i Adam Gruca. Starałem się ich przestrzec; Baranowski mało się tym przejął, a Grucy nie było już we Lwowie. Oba przeżyli wojnę.

Przez cały okres okupacji grałem jeszcze wiele na skrzypcach i ćwiczyłem z uporem klasyczne koncerty D-dur Beethovena, Czajkowskiego i Brahmsa oraz sonaty Beethovena z sonatą zwaną Kreutzerowską, niezwykle piękną nie tylko dzięki reklamie, jaką jej zrobił Lew Tołstoj. Gdyby tak okupacja była trwała dwadzieścia lat, byłbym może do czegoś doprowadził, ale tymczasem urządziłem w mieszkaniu p. Heleny Bruchnalskiej (przy ul. Zyblikiewicza 5) tajne, środowowe koncerty muzyki poważnej. Nie tu miejsce na ich opis, już zresztą dokonany i opublikowany¹, podaję tylko nazwiska artystów, którzy występowali, a liczą się w polskiej muzyce: Felicja Andruchowicz-Międlar — świetna skrzypaczka, Henryk Statkiewicz — znakomity skrzypek wirtuoz, po wojnie profesor konserwatorium w Bydgoszczy, Stanisław Skrowaczewski — wówczas młody pianista i kompozytor, dziś dyrygent światowej sławy, śpiewacy — Andrzej Hiolski i Władysław Malczewski, śpiewaczki — H. Green-Skazowa i Teresa Manasterska, pianista — Jerzy Broszkiewicz, który znakomity talent muzyczny zamienił po wojnie na niemniej świetny talent pisarski i inni. Przychodziło na te koncerty do czterdziestu osób, aż pewnego dnia wezwał mojego ojca, który był lekarzem w elektrowni, jego niemiecki szef Roth i powiedział w cztery oczy, zamknawszy starannie drzwi, że „Niemcy już wiedzą o koncertach w domu pańskiego syna. Pan wie, jacy oni są. Lepiej nich no to zlikwiduje”. Tak też się stało, a piszę o tym dlatego, że byli też przyzwoici Niemcy. Był to już zresztą rok 1944.

¹ T. Kielanowski: *Z okupowanego Lwowa*. „Przegląd Lekarski” R. 27: 1971 z. 1 s. 109—113.

W pierwszych dniach października 1944 chodziłem już po ulicach Lublina w mundurze polskiego oficera-lekarza. Co krok spotykałem lwowskich kolegów, również w mundurach, a mimo srogich przestróg podziemnych władz polskich, którym w czasie okupacji podlegaliśmy, nikt z nas nie miał wątpliwości, że należy się brać natychmiast do pracy, każdy w swoim zawodzie i każdy w miarę swoich najlepszych możliwości.

W wojsku byłem i miałem pozostać prawie do końca listopada szefem służby zdrowia podchorążówki, ulokowanej w samym Lublinie i nie brakowało mi wolnego czasu mimo pewnych zajęć patrolowych i inspekcyjnych, nieraz nocnych, a nawet niebezpiecznych, nakazywanych mi — do dziś nie wiem po co — przez pewnego majora W. W wojsku, w czasie wojny, tuż pod frontem, pytań się nie stawia, ale miałem szczęście i nic mi się nie stało.

Już w pierwszych dniach października odszukał mnie mój kolega ze studiów — dr Edward Grzegorzewski i zaproponował współpracę przy tworzeniu wydziału lekarskiego, zakładanego właśnie uniwersytetu, mającego nazywać się Uniwersytetem Marii Curie-Skłodowskiej. Okazało się, że na tym małym skrawku wyzwolonej dotąd polskiej ziemi jestem jedynym wyszkolonym anatomopatologiem i jedynym lekarzem zdolnym do prowadzenia również wykładów patologii ogólnej. Bez mojego udziału nie można więc było uruchamiać wyższych, klinicznych lat studiów.

Nie wahałem się długo i już nazajutrz rozmawiałem z profesorem Ludwikiem Hirszfoldem, a zaraz potem z rektorem Henrykiem Raabe. Obaj byli ludźmi wybitnymi i odegrali — Raabe w Lublinie, a Hirszfeld we Wrocławiu — dużą rolę w odrodzeniu się nauki polskiej po Drugiej Wojnie Światowej. O ile jednak z Ludwikiem Hirszfoldem, a jeszcze bardziej z panią Hanną Hirszfeldową, bliska współpraca przerodziła się w serdeczną przyjaźń, o tyle stosunki moje z Raabem, nie były, niestety, nigdy naprawdę dobre.

Chcę pisać prawdę, chcę przedstawić krótko moje racje, ale nie chciałbym, żeby ktokolwiek sądził że obwiniam Raabego o cokolwiek. Byliśmy po prostu bardzo często w wielu sprawach odmiennego zdania, a rektor Raabe nie lubił odmiennego zdania. Odmienność zapatrywań wynikała zaś głównie z tego, że studia medyczne były zawsze i muszą być w pewnym stopniu szkołą zawodową, a nie liberalnym studium uniwersyteckim, takim na przykład jak matematyka, zoologia lub którakolwiek z nauk humanistycznych. Przechodząc z roku na rok wyższy, musi mieć student opanowane pewne minimum wiedzy z pewnych dziedzin, np. z anatomii, fizjologii czy farmakologii, bo bez tego nie można go dopuścić do łóżka chorego ani do sali zabiegowej. Rektor Raabe żądał zaś ode mnie, jako od dziekana, bym dopuszczał na lata wyższe niejako „na kredyt”, bo bez egzaminów, studentów zasłużonych w pracy społecznej, pomagających mu w organizacji uczelni, a na takie wyjątki, zresztą liczne, godzić się nie mogłem ani nie chciałem. Zdarzyło się wreszcie, że Raabe odwołał się od mojej decyzji do Rady Wydziału Lekarskiego, na której posiadzenie przybył osobiście, by bronić swojej sprawy i swego, moim zdaniem źle pojętego, autorytetu rektora. Kiedy jednak przegrał definitywnie, bo Rada Wydziału poparła moje stanowisko, wyszedł ostatecznie już na Wydział Lekarski obrażony.

Opisałem przed laty wielokrotnie odtąd cytowane i przedrukowane wspomnienia o pierwszym wykładzie, jaki wygłosiłem 3 stycznia 1945 roku w sali pozbawionej szyb i oświetlonej wciąż gasnącą świecą². Był to na pewno pierwszy wykład medyczny w wolnej, choć jeszcze walczącej Polsce. Byłem w mundurze majora i wszyscy moi słuchacze byli w mundurach, przy czym wielu miało już za sobą służbę frontową; część miała niebawem wrócić na front, gdzie student Aleksander Dawidowicz (dziś docent interny) został ciężko ranny, a student Leopold Jakobson zginął.

W zespole nauczycieli akademickich Wydziału Lekarskiego znaleźli się przedwojenni profesorowie i docenci: Ludwik Hirszfelfd, Jan Henryk Lubieniecki, Feliks Skubiszewski, Sergiusz Schilling-Siengalewicz, Jakub Węgierko, zaawansowani pracownicy nauki, których habilitacji przeszkodziła wojna, a którą przeprowadzono zgodnie z przedwojennymi przepisami (ja do nich należałem, a obok mnie koledzy Jerzy Morzycki, Edward Grzegorzewski, Wiesław Hołobut, Tadeusz Jacyna-Onyszkiewicz i kilku innych), oraz młodzi, bardzo zdolni i ambitni lekarze, którzy przeprowadzili postępowanie doktorskie już w Lublinie, potem habitowali się i zdobyli wysokie pozycje w polskim świecie nauki medycznej. Nie pisząc historii Wydziału Lekarskiego UMCS, ale moje własne wspomnienia, muszę jednak przytoczyć dwa nazwiska ludzi wówczas młodych, lecz zupełnie wyjątkowo ofiarnych i zasłużonych: są to obecni profesorowie — Stanisław Grzycki, histolog, i Mieczysław Stelmasiak, anatom.

Przez kilka jesiennych i zimowych miesięcy przełomu lat 1944/1945 pomagali nam, prowadzili kliniki, wykładali dla studentów, chodzili pilnie na posiedzenia Rady Wydziału dwaj profesorowie Wojskowej Akademii Medycznej w Leningradzie: Witold Nowodworski — internista i Zbigniew (nie jestem całkiem pewny imienia) Szacki — chirurg. Obaj byli polskiego pochodzenia, obaj byli generałami brygady w polskich mundurach, Szacki mówił po polsku znakomicie, tak jak my, a Nowodworski niestety słabo. Po wojnie wrócili do Leningradu.

Jak wspomniałem, nie moje właściwe kwalifikacje naukowe okazały się nieodzowne do powstania wyższych lat studiów, ale mój wieloletni staż anatomopatologiczny. Znowu mnie więc jakaś fatalna siła odsuwała od mojego właściwego powołania. Chwilowo nie było na to jednak rady i musiałem w jakiś sposób, graniczący z cudem i nieprawdopodobieństwem, zorganizować ćwiczenia z zakresu anatomopatologicznej sekcji zwłok dla studentów rozpoczynających lata kliniczne.

Było o to dlatego tak trudno, że żaden z lubelskich przedwojennych szpitali nie miał prosektorium i w żadnym nigdy zwłok zmarłych nie sekcjonowano. Szpitale były zresztą w ogóle małe i prymitywne i nie miały również pracowni analitycznych; mocz badano w ubikacji, a jeśli uznawano potrzebę innych badań, posyłano materiał do prywatnego lekarza analityka.

Wykorzystując mój oficerski status i mundur stwierdziłem, że w środku dużego dziedzińca Szpitala Ewakuacyjnego przy ul. Wyszynskiego (dzisiejsza — Sławińskiego) stoi drewniana buda, w której składane są zwłoki zmarłych żołnierzy. Przy pomocy sympatycznego kaprała Władysława Kozaka, który rządził tym przybytkiem, ustawiliśmy tam coś w rodzaju blaszanego stołu i doprowadziliśmy światło, a potem ustawiliśmy żelazny piecyk, nad którym rozmrażaliśmy skamieniałe zwłoki. Kapral

² Ze wspomnień profesorów Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (T. Kiełanowski). W: *Dziesięć lat Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. 1944—1954*. Lublin 1954 s. 30—32.

„zorganizował” na chirurgii jakieś duże nożyce, a nóż znaleźliśmy w kieszeni zmarłego na dyfterię francuskiego, byłego jeńca wojennego. Zakład anatomii patologicznej w Lublinie przechowuje ten nożyk do dziś jako pamiątkę. W tak stworzonych warunkach mogło się przyglądać sekcji około dziesięciu studentów.

Żeby się jednak dostać do owego przybytku nauki, trzeba było staczać dosłownie *corridy*! Przestrzeń dookoła szopy była bowiem otoczona wysokim drewnianym parkanem, wewnątrz którego czekały na swój los wygłodzone jałówki i krowy, przeznaczone na ubój dla szpitalnej kuchni. Od wchodzących oczekiwały — biedne — pokarmu i niełatwo dawały się odpędzać. I tu, jako torreador, kapral Kozak był nieoceniony.

Ktoś, niestety, nie pamiętam kto, ale niech mu będzie chwała, ofiarował uczelni dwutomowy podręcznik anatomii patologicznej Nowickiego, a ktoś inny, piękny komplet histologicznych preparatów anatomopatologicznych. Wydział miał już ze dwadzieścia pięć mikroskopów, starych, cudem gdzieś pozbieranych; ustawiałem pod każdym inny preparat, sadzałem studenta, a potem szedłem od jednego do drugiego i wyjaśniałem. Do jesieni 1945 roku byłem bowiem kierownikiem zakładu i asystentem w jednej osobie, a moja elokwencja i gestykulacja były jedynymi pomocami naukowymi. Kiedy więc w jesieni 1945 roku repatriował się z Wilna profesor Stanisław Mahrburg, witałem go jak zbawcę, przekazując mu „katedrę wraz z inwentarzem”. Właściwym twórcą lubelskiej anatomii patologicznej jest więc Mahrburg, a ja byłem tylko partyzantem w najcięższej epoce.

Ale wróćmy do stycznia 1945 roku. Dziekanem mianowano naszego seniora, profesora Jana Lubienieckiego, człowieka wielkiej zacności, świetnego internistę, ale — niestety — dobiegającego siedemdziesiątki, spowolniałego, wciąż chorującego i wciąż pełnego wątpliwości. Rozumowano tak, jakby dziekaństwo było zaszczytem, a nie bardzo ciężkim obowiązkiem, wymagającym zawsze, a już szczególnie w tych czasach, dużych sił, zdrowia, wytrzymałości nerwowej, zdolności improwizacyjnych, fantazji, a więc cech posiadanych raczej przez ludzi młodych. Lubieniecki nie dawał sobie rady; otoczony stosami podań przedwojennych studentów, nie mogących najczęściej, co jest oczywiste, przedłożyć żadnych dokumentów nie wiedział komu ufać, komu nie, rzucił się kogo mógł, wreszcie odkładał decyzję do jutra i — co najgorsze — nie uruchamiał zajęć. Doszło więc do tego, że na grudniowym posiedzeniu Rady Wydziału, pułkownik Kornel Mikulewicz, komendant Katedry Medycyny Wojskowej oświadczył, że będzie musiał odesłać do czynnej służby, a więc na front tych studentów, których z frontu odwołano i skoszarowano w Lublinie po to, żeby kończyli studia, a nie po to, żeby próżnowali. Bo wojna trwa! Zapadły wtedy decyzje uruchomienia wykładów natychmiast i udzielenia dziekanowi pomocy. O moim wykładzie z 3 stycznia jako następstwie tych decyzji wspominałem, dodaję więc tylko, że z prof. Hirszfeldową i drem Grzyckim we troje załatwiliśmy wszystkie dziekańskie zaległości w ciągu trzech dni. A potem, gdzieś od połowy lutego, nie wychodził już prof. Lubieniecki prawie z domu, tylko czasem, kiedy studenci składali się i posyłali po niego dorożkę, jeszcze wykładał; dużo leżał w łóżku, na ulicy czasem tracił przytomność, jeżeli próbował wyjść. Odwiedzałem go w domu, bo do końca roku akademickiego, który przeciągnęliśmy ze względu na późny początek do 31 lipca, wszelkie obowiązki dziekana pełniłem ja, człowiek wówczas niespełna czterdziesto-

letni, a więc wytrzymały. Profesor Lubieniecki udzielał mi cennych rad i sądzę, że sytuacja była prawidłowa: młodzi powinni działać i decydować, ale zawsze po wysłuchaniu opinii starszych i starych, dokładnie tak jak za czasów antycznej demokracji greckiej.

*
*
*

Wojna się skończyła, nie chciałem pozostać w Lublinie na stałe, z przyjezdnych zresztą mało kto chciał. Nie udało mi się przeniesienie do Gdańska (byłem wciąż w wojsku, zależny od decyzji MON), gdzie Grzegorzewski, Morzycki i Abramowicz tworzyli atrakcyjną Akademię Medyczną; pozostałem więc na razie w Lublinie, pełniąc w roku akademickim 1945/46 bardzo aktywnie funkcję prodziekana. W listopadzie 1945 zdemobilizowano mnie, ale jeszcze rok chodziłem w mundurze, z braku cywilnego ubrania. Wykładałem patologię ogólną i wreszcie mój przedmiot właściwy, ftyzjatrię. Kliniką ftyzjatryczną była połowa szpitalnego Oddziału Gruźliczego Szpitala Jana Bożego, odstąpiona życzliwie i ze zrozumieniem przez długoletniego ordynatora, dr Helenę Mysakowską. Było tam więcej niż skromnie, ale można było leczyć odmą, prześwietlać i robić zdjęcia rentgenowskie, a nawet przepalać zrosty metodą Jacoboëusa, w czym dr Mysakowska była mistrzem. Nie miałem, niestety, asystentów lekarzy, angażowałem więc studentów, ucząc ich alfabetu, od badania chorego i pisania historii choroby począwszy. Nie zawiedli mnie, wszyscy zajęli potem wysokie stanowiska w tej specjalności: dr Stanisław Grodzki i Kazimierz Podobiński w Lublinie, dr Jan Krupka w Sanatorium Adampol, dr Stanisław Brokman w Białymstoku, dr Jerzy Zdziechowski w Warszawie, Witold Koziejowski na Śląsku itd. Biruta Tomaszunas, później Fąfrowicz, która rozpoczęła studia w Lublinie w 1944 roku, jest dziś kierownikiem Kliniki Chorób Płuc w swoim mieście, ale nie w tym ubogim przybytku z lat czterdziestych, lecz w znakomitym, pięknym, nowoczesnym obiekcie, zaplanowanym i zbudowanym przez profesor Helenę Mysakowską.

We wrześniu 1946 wybrała mnie Rada Wydziału dziekanem jednym głosem przewagi nad moim kontrkandydatem, dziekanem ustępującym. Czekala mnie kadencja niezwykle trudna.

Wydział rozwijał się, krzepł bez wątpienia, ale równocześnie tracił najznamienitsze kadry kierownicze, czyli te osoby, których nazwiska firmowały uczelnię, nadawały jej w opinii kraju rangę. Hirszfeldowie wyjechali zaraz w jesieni 1945 roku do Wrocławia; bakteriolog Ludwik Fleck był uczonym z prawdziwego zdarzenia, ale nie zastąpił Hirszfelda, bo nie miał jego fantazji, jego osobistego uroku. Ignacy Abramowicz przeniósł się do Gdańska, a okulista, który go zastąpił, okazał się tak żenującym nieukiem, że musiałem z nim rozwiązać umowę o pracę (był kontraktowym zastępcą profesora), co było niezmiernie przykre, a co musiałem, niestety, powtórzyć z osobą kierownika katedry psychiatrii, człowiekiem pełnym walorów, ale dypsomanem, a więc pijakiem leżącym co parę tygodni po trzy dni w jakichś najgorszych spelunkach dosłownie pod stołem. Profesorowie Grzegorzewski i Morzycki przenieśli się już w jesieni 1945 do Gdańska, za mojej kadencji Siengalewicz poszedł do Poznania (ubłagałem prof. W. Grzywo-Dąbrowskiego, ażeby dojeżdżał z wykładami z Warszawy), a profesorowie Węgiérko i Murczyński do Szczecina.

We wrześniu 1947 wybrano mnie po raz drugi z rzędu — na trwającą wówczas zasadniczo rok następną kadencję — dziekanem. Nie było łatwiej, trwały trudności kadrowe, a coraz dokuczliwsze stawały się trudności lokalowe, bo trwająca zbyt długo improwizacja niecierpliwi. Jak to bywa w ubóstwie, pojawiały się spory „rodzinne” między wydziałami, a rektor Raabe nie rozstrzygał ich nigdy na korzyść Wydziału Lekarskiego, który nazywał chętnie „kukulczym jajem uniwersytetu”, nie pamiętając widać, że PKWN chciał przede wszystkim tworzyć Wydział Lekarski, bo najbardziej lekarzy wówczas społeczeństwu brakowało. Ale oto przykład przegranej przeze mnie wojny domowej: kiedy Senat postanowił dzielić budżet uniwersytetu „sprawiedliwie”, to jest dotować każdą katedrę jednakową kwotą — tyle samo zoologii, co chemii organicznej, a matematyce i fizyce teoretycznej tyle co chirurgii — wystąpiłem do Ministerstwa Zdrowia (choć uniwersytet podlegał Ministerstwu Oświaty) z prośbą, aby dofinansowywało kliniki ze swojego budżetu. Uzyskałem zrozumienie, zgodę i jakąś sporą na owe czasy sumę, w postaci comiesięcznej dotacji. Rektor Raabe — otrzymując zawiadomienie — powiedział jednak wtedy, że „kliniki” ma uniwersytet także na Wydziale Weterynarii i znowu podzielił wszystko „sprawiedliwie”, a moje reklamacje w Ministerstwie Zdrowia nic nie pomogły; nie chciano interweniować, tyle innych było wtedy zgryzot. Myślano już jednak o wydzieleniu wydziałów lekarskich z uniwersytetów i nie ma się co dziwić, że nie tylko z tej jednej, opisaniej tu przyczyny, byłem gorącym zwolennikiem wzmiankowanej reformy.

W roku 1947, z mojej inicjatywy, ale staraniem profesora Janusza Sobańskiego, odbyła się w Łodzi trzydniowa konferencja dziekanów wydziałów lekarskich. Przygotowałem na nią mnóstwo zagadnień, wymagających przedyskutowania i ogólnokrajowego uzgodnienia, ale ku mojemu osłupieniu... nie zostałem dopuszczony do głosu ani pierwszego dnia, kiedy przewodniczył senior — profesor Jan Glatzel z Krakowa, ani drugiego, kiedy przewodniczył senior — profesor Franciszek Czubalski z Warszawy. Obaj czcigodni dziekani atakowali natomiast bez przerwy w sposób agresywny i nietaktowny (działo się to wszak w Łodzi!) wszystkie powojenne inicjatywy w dziedzinie tworzenia nowych uniwersytetów i nowych wydziałów lekarskich. Prof. Glatzel pouczał nas, że trzeba, tak jak Amerykanie, sypnąć milionami dolarów, pobudować zakłady i kliniki, sprowadzić ze świata znakomite siły i popracować stulecie; wtedy może coś z tego być. Prof. Czubalski — niestety — Glatzlowi basował, ale na szczęście żył jeszcze potem długo i zapewne zmienił zdanie. Trzeciego dnia byli jednak starsi panowie już bardzo zmęczeni, przewodniczył prof. Sobański, otrzymałem prawo zabrania głosu i ku mojej satysfakcji zostałem wysłuchany z zaciekawieniem. Wyjechałem umocniony w przekonaniu, że błędem jest powierzanie trudnych funkcji w trudnych czasach ludziom starym, nawet jeżeli są tak szlachetni i pełni dobrej woli jak Lubieniecki lub w swoim fachu tak znakomici jak Glatzel i Czubalski.

* * *

Często w tym czasie jeździłem do Warszawy, której opisywać chyba nie muszę, choć wspomnień mam wiele. Podróż z Lublina do Warszawy trwała wówczas całą noc, a wagony nie miały szyb ani nie były oświetlo-

ne. Postępem były aluminiowe lampki z szybką, za którą paliła się świeca; ciekaw jestem, czy w muzeum kolejnictwa zostały ich okazy. Między piątą a ósmą rano, przed otwarciem biur ministerstw nie było się gdzie podziąć w zburzonym, ciemnym mieście, szczególnie w zimie. Przyjemnie było jednak obserwować szybkie postępy w odgruzowaniu, uruchamianiu coraz nowych linii tramwajowych, otwieraniu kawiarenek w parterowej Warszawie, powstawaniu prawdziwych restauracji, a nawet baru przy którejś z bocznic Marszałkowskiej, w którym zawsze były flaki.

Pamiętam generała Michała Rolę-Żymierskiego, bo mnie za udział w wojnie osobiście dekorował w maju 1947 roku. Pamiętam też Bolesława Bieruta, którego spotkałem jeszcze w Lublinie w 1944 roku na uroczystości otwarcia Uniwersytetu, kiedy siedział z początku sam w pustym pierwszym rzędzie krzeseł auli gimnazjum im. Staszica, a rektor Raabe posłał mnie do niego. A potem, znacznie później, wydelegował mnie Raabe do Warszawy na kolację wydaną przez Prezydenta Bieruta w Belwederze ku czci bawiącej w Warszawie pary uczonych Fryderyka i Ireny Joliot-Curie. W czasie bankietu wznoszono toasty po polsku, ja swój wygłosiłem jednak po francusku, za co mi Fryderyk i Irena później serdecznie dziękowali, szczególnie kiedy wspomniałem, że znałem Marię; nie było potrzeby precyzowania okoliczności z dyplomem, które opisałem poprzednio... Irena wyglądała bardzo źle. Nie wiedziałem, że jest beznadziejnie chora na gruźlicę płuc i długo już nie miała żyć. Zakończeniem bankietu było dłuższe przemówienie polityczne Bieruta, wygłoszone znakomicie, piękną polszczyzną, *ex promptu*, bez kartki.

Pod koniec drugiej kadencji dziekańskiej poznałem blisko wiceministrów, z którymi miałem potem współpracować przez wiele lat.

Wiceminister Oświaty Eugenia Krassowska była osobą o silnym charakterze, toteż mimo wzajemnej sympatii dosłownie skakaliśmy sobie do oczu, tak różne bywały nasze opinie i zapatrywania na tematy codzienne, robocze, w gruncie rzeczy drugorzędne. Przekonałem się raz jeszcze, że ludzie energiczni, a inteligentni, a taką była Krassowska, walczą o swoje zdanie, ale cenią także przeciwników umięjących walczyć o zdanie przeciwne.

Wiceminister Zdrowia Jerzy Sztachelski był człowiekiem, o którym trudno mi pisać krótko, bo chciałbym napisać tom. Nasze kontakty trwały blisko trzydzieści lat, a na różne tematy, nie tylko medycyny dotyczącej, dyskutowaliśmy jeszcze kilka tygodni przed jego śmiercią. Wszystkie hasła i idee socjalizmu i komunizmu, widziane oczyma Sztachelskiego (powiedziałbym „oczyma duszy”, gdyby to nie brzmiało zbyt afektownie, co nie pasowałoby do postaci) i przez niego interpretowane, były dobre, piękne i szlachetne.

Wspominam Krassowską i Sztachelskiego w tym miejscu dlatego, że w czerwcu 1948 roku, kiedy zbliżały się wakacje akademickie, lato, a potem wreszcie wymarzony koniec mojej straszliwie męczącej kadencji dziekańskiej, kiedy świtała nadzieja zajęcia się wreszcie ftyzjatrią, kliniką — zostałem wezwany do Warszawy, gdzie właśnie oni oboje mi oświadczyli, że postanowiono mnie mianować rektorem UMCS. Samochoodem ministerialnym (tzw. wówczas „demokratką”) jeździłem ruchem wahałdowym między ministerstwami Zdrowia i Oświaty, tłumacząc, że się

proponowanej mi funkcji podjąć nie mogę. Wreszcie jednak uległem, kiedy mi powiedziano, że mam jako rektor dbać szczególnie o krzywdzony dotąd Wydział Lekarski; miałem zresztą nadzieję, że do nominacji nie dojdzie, bo wbrew prośbie władz poinformowałem po powrocie do Lublina H. Raabego o planach zmiany na stanowisku rektora, a wiedząc że Raabe chce kontynuować to, co tak pięknie zaczął — byłem pewny, że Warszawę przekona. Pojechałem więc na długi urlop w Tatry, pogodę miałem świetną, byłem na wszystkich szczytach polskich Tatr (słowackie nie były jeszcze dostępne), na każdym po dwa razy, różnymi drogami.

Wiadomo mi, że Raabe walczył, wiem nawet jak, ale chcę, żeby to poszło w zapomnienie, bo 1 września przyszła nominacja i rozpocząłem znowu pracę, na pewno ważną, zaszczytną i odpowiedzialną, ale znowu uniemożliwiająca mi całkowite oddanie się pracy klinicznej.

* *
*

Byłem rektorem UMCS do czasu wydzielenia wydziałów lekarskich z uniwersytetów. Nie ze względu na wymogi funkcji, bo doświadczenia organizacyjnego i znajomości spraw uniwersyteckich już mi nie brakowało, ale ze względu na panującą wtedy w Lublinie i w kraju atmosferę (tzw. okres błędów i wypaczeń) był to najtrudniejszy okres w moim życiu.

Prorektorem mianowano przedziwną postać — lekarza weterynarii Józefa P. Nie podaję jego tytułów uniwersyteckich, bo mu je później odebrano jako nienależne i wyłudzone; był bardzo ruchliwy i miał reprezentować element polityczny u boku bezpatryjnego rektora, ale dziwne było to jego zaangażowanie, bo pisał na przykład listy do papieża z prośbą o błogosławieństwo (choć nie był katolickiego pochodzenia); lecz to nie była, ani nie jest moja sprawa. Moją sprawą było, iż stale wkraczał w moje kompetencje, a zarazem pisywał niemal co tygodnia długie skargi i donosy na mnie do ministerstw i wszelkich innych władz. Wiele z tych listów mi w Warszawie pokazywano, prosiłem więc, żeby mnie z funkcji rektora zwolniono, ale mówiono, że nie ma o tym mowy i że pan P. może sobie dalej pisać, co chce. Dziś sądzę, że P. był chory psychicznie, ale także, że były już wtedy osoby, które wiedziały, że nie jest on tym, za kogo się podaje. Tak czy owak był to człowiek niebezpieczny i szkodnik.

Pierwszą moją czynnością po nominacji było zwrócenie się z prośbą do Raabego, by mi zechciał pomagać. Zdaje się, iż Raabe zrozumiał, że mu jestem życzliwy, że wysoko cenię jego osiągnięcia i że będę kontynuował wytyczoną przez niego linię rozwojową.

Za mojej kadencji rektorskiej powstał w Uniwersytecie nowy, ważny wydział — Wydział Prawa. Równocześnie z jego kreowaniem został zniesiony Wydział Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, co było oczywiście przykre dla jego władz i przyjaciół, ale chyba nie dla większości profesorów, którzy przeszli chętnie do uniwersytetu państwowego, ani też dla młodzieży, która uważała w istniejących warunkach dyplom szkoły państwowej za praktycznie cenniejszy. Dziekanem i organizatorem nowego wydziału został profesor Aleksander Wolter z Krakowa, a bardzo aktywnym działaczem prof. Leon Halban z KUL-u, ostatni potomek zasłużonego rodu Halbanów — syn profesora prawa Alberta, bratanek neurologa Henryka, o którym pisałem.

W lutym 1949 roku byłem po wojnie po raz pierwszy w Londynie jako członek delegacji polskiej nauki medycznej, wraz z profesorami Adamem Grucą, Antonim Dobrzańskim, Mściwojem Semerau-Siemianowskim i Karolem Jonscherem. Widziałem zniszczenia wojenne Londynu, znikome w stosunku do znanych nam zniszczeń miast polskich, spotkałem mnóstwo polskich emigrantów, kolegów, przyjaciół i krewnych; wiele by o tym opowiadać, ale ograniczę się tylko do faktów charakteryzujących epokę.

Wożono nas po Londynie Rolls-Roycem, a ja, jako najwyższy wzrostem, siadywałem koło kierowcy i gawędziłem z nim mile do czasu aż mi powiedział, że był także żołnierzem, ale lubi Niemców, bo to naród dżentelmentów. Powiedziałem mu wtedy, co ja widziałem i co mi nie pozwala dzielić jego zdania i odtąd nie miałem ochoty jeżdżenia obok kierowcy.

Plan wizyty obejmował nawiązanie kontaktów z różnymi lekarzami, w tym z Sir Aleksandrem Flemingiem, odkrywcą penicyliny — człowiekiem, który otworzył nową erę w medycynie. Fleming, wciąż pracujący w swoim skromniutkim laboratorium na najwyższym piętrze St. Mary Hospital, pokazał nam słynną, historyczną płytkę Petriego z przypadkowo rosnącym na niej grzybkim *Penicilium notatum*, po czym poszliśmy razem na obiad do stołówki szpitalnej. Przy obiedzie Fleming milczał, o nic nas nie pytał, a moje wysiłki nawiązania konwersacji załamywały się już przy omawianiu pogody. Powiedziałem wreszcie, że mamy nadzieję, iż odwiedzi nas kiedyś w Polsce, na co usłyszeliśmy oschle: „A po co? W Polsce nie ma nic ciekawego do zobaczenia”. Byłem zmrożony, myślałem, że profesor uległ jakimś wrogim nam wpływom propagandowym i milczałem już do końca. Ale Anglicy wyjaśnili mi ze śmiechem, że to typowe, że Sir Alexander jest zawsze taki. Oczywiście ani przygoda z szoferem, ani z wielkim Flemingiem, zresztą Szkotem, nie zmieniły mojej szczerzej i trwałej sympatii do Anglików.

W hotelu obsługiwał nam prawie stale miły młody człowiek, kelner o nienagannych manierach, Brytyjczyk w każdym calu. Ostatniego dnia pobytu przemówił do nas ów Brytyjczyk... najczystszą polszczyzną i wyjaśnił nam, zdumionym, że miał polecenie (nie wiem od kogo) słuchania i przekazywania treści naszych rozmów, ale że niczego nie przekazał, bo o polityce nie mówiliśmy.

I wreszcie kiedy wracaliśmy samolotem RAF-u, bo linii lotniczych cywilnych jeszcze między Polską a Anglią wtedy nie było, okazało się w dniu wyjazdu, że są tylko dwa wolne miejsca i trzech z nas musiało czekać dwa dni. Po dwóch dniach były znowu dwa miejsca i ja, jako najmłodszy, musiałem czekać... tydzień, wciąż się pytając w biurze, kiedy polecę. Kiedy wreszcie miałem lecieć, ważono mnie i moje skromne walizki wiele razy i wciąż kazano je otwierać i opróżniać z czegoś, bo uznawano je za zbyt ciężkie. Pozbywałem się takich skarbów (na owe czasy! w domu były dzieci!) jak pomarańcze, cytryny, banany i daktyle i wreszcie leciałem 24-osobowym samolotem pasażerskim RAF-u... sam jeden. Pierwszy i jedyny raz w życiu jako jedyny pasażer.

W Lublinie okazało się, że wiadomość o powrocie do kraju Grucy, Dobrzańskiego i innych, a moim pozostawaniu (nie pozostaniu, ale pozostawaniu przecież) w Londynie już do uniwersytetu doszła i że prorektor P. urzędował już z wielką powagą w moim gabinecie. Było więcej takich, którym wracając do kraju (mimo że kawaler! znający języki i mający

dobry zawód!) popsulem humor, ale Sztachelski śmiał się i mówił, że za mnie gwarantował i wiedział że wróce.

8

Ale ja jednak naprawdę marzyłem o opuszczeniu Lublina, uniwersytetu, chciałem wrócić do pracy klinicznej w dziedzinie ftyzjatrii, gdziekolwiek, choćby w Zakopanem, i mówiłem o tym Sztachelskiemu. Powstanie wydzielonych akademii medycznych powitałem więc z zachwytem.

Propozycja budowania nowej akademii w Białymstoku wydała mi się interesująca, choć nie znałem miasta, o którym znający je sprzed wojny lub obecnie wyrażali się albo z przekąsem, albo ze śmiechem. Pojechałem tam w marcu 1950 r. (do marca urzędowałem wciąż jako rektor UMCS) samochodem Sztachelskiego i zobaczyłem spalone miasteczko, ze spalonym pałacem, którego odbudowę dopiero rozpoczęto, a który miał być odrestaurowany wraz z przylegającą, dużą dawną szkołą z epoki carskiej, bazą przyszłej akademii. Prymityw szpitali był taki, że w zakaźnym leżały nawet kobiety z mężczyznami na jednej sali („chorym na tyfus, półprzytomnym albo nieprzytomnym to nie przeszkadza”), a nie wszystkim chorym na internie badano mocz... Lublin, nawet ten, który zastaliśmy bezpośrednio po okupacji w 1944 roku, był w stosunku do Białegostoku europejską stolicą.

Po Białymstoku oprowadzał mnie dr Witold Stasiewicz, kierownik Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia, człowiek miły, bardzo kulturalny, a jak się miałem później przekonać znakomity organizator i w każdym znaczeniu człowiek bardzo mądry. Kiedy mu oświadczyłem, że moim zdaniem w tym mieście — nie tylko w ogóle nie posiadającym gazowni, ale mającym zupełnie niedostatecznie sprawne wodociągi i tak słabą elektrownię, że się żarówki wieczorem rzeczywiście tylko „żarzyły” — akademii medycznej tworzyć się nie da, posmutniał i zaproponował, abym na pożegnanie pojechał jeszcze zobaczyć w okolicy miasteczko Supraśl, jakoby ciekawe i piękne. Zanim przebyliśmy jednak tych około dziesięć kilometrów, zobaczyłem coś za czym tęskniłem boleśnie od wielu lat; prawdziwy, piękny, stary las, przepiękny las puszczy Knyszyńskiej, podchodzącej pod sam Białystok. Poprosiłem o zatrzymanie samochodu i nie wiedzącemu o co chodzi doktorowi Stasiewiczowi powiedziałem: „panie doktorze, a jednak budujemy akademię!”. Była to najbardziej romantyczna, najbardziej lekkomyślna, rzekłbym, że najbardziej polska decyzja w moim życiu. Niemniej powiedział Sztachelski w Warszawie tylko te słowa: „spodziewałem się po panu tej decyzji”, a ja sam tej decyzji nigdy nie żalowałem.

Nie będę tu opisywał, jak tę uczelnię budowaliśmy, choć gdzieś, kiedyś warto by to szczegółowo utrwalić na piśmie. Tu notuję tylko, że — oczywiście — nie pracowałem sam, ale na czele gromady kilkunastu lekarzy i lekarek, moich uczniów, absolwentów Akademii Medycznej w Lublinie, ludzi młodych, którzy zdecydowali się jechać z mną. Władze miejskie, wojewódzkie, komitety partyjne z wojewódzkim na czele, były do idei budowania uczelni ustosunkowane nad wyraz pozytywnie, ale jak to bywa w życiu, nie wszyscy rozumieli, że sprowadzając ludzi z zewnątrz, trzeba także ponosić ofiary, np. dawać im mieszkania. Zapomnijmy jednak o trudnościach.

Pierwszym nauczycielem akademickim, którego pozyskałem do nowej uczelni i nakłoniłem do objęcia kierownictwa katedry anatomii prawidłowej, choć z wykształcenia był magistrem antropologii i doktorem medycyny, był 32-letni wówczas Tadeusz Dzierżykray-Rogalski, dziś znany, wybitny afrykanista-paleopatolog. Był młody, pracowity, pełny inwencji i nie tylko zbudował naprawdę piękny zakład naukowy i pełnił funkcje pierwszego historycznie dziekana uczelni, ale zainicjował pierwsze na tych ziemiach prace badawcze, poszukujące grobowców i śladów kultury materialnej wymarłego narodu Jaćwingów. Poszukiwania dały bogaty plon. Pierwszym krajowym Zjazdem Naukowym, jaki się odbył w Białymstoku w oparciu o Akademię, był zorganizowany przez Dzierżykray-Rogalskiego Zjazd Anatomów.

Drugim współpracownikiem, tym razem ochotnikiem, którego nie musiałem namawiać, był biochemik, przyrodnik, botanik, profesor zwyczajny UMCS — dr Witold Sławiński, który objął katedrę biologii, ale poza uczelnią rozwinął od razu żywą działalność naukową i popularyzacyjno-naukową. Niestety, nie mogę tu opisywać kolejnych sukcesów i niepowodzeń w obsadzaniu dalszych katedr, bo piszę swój życiorys, a nie historię uczelni.

Fakt tworzenia akademii medycznej, a więc uczelni akademickiej w Białymstoku, przyjęło mnóstwo ludzi z niewiarą, ze śmiechem, z kpinami, a nawet z pewnego rodzaju złością. Dla wielu ludzi ze środowisk akademickich było rzeczą zaskakującą, że ową inicjatywę rządu i partii, ów niewydarzony pomysł jak mówiono realizuje profesor habilitowany, były dziekan i rektor uniwersytetu wprawdzie młodego, ale przecież „prawdziwego”; z istnieniem UMCS już się bowiem na ogół pogodzono. Ktoś wpadł na pomysł, że zostałem przeniesiony do Białegostoku za karę i pytał mnie, co ja takiego w Lublinie zbroiłem. Mnóstwo ludzi zaś sądziło całkiem serio, że białostocka akademia zostanie przy najbliższej okazji porządkowania naszej gospodarki — zlikwidowana.

Cóż mogę o tym dziś, po prawie trzydziestu latach, powiedzieć? Uczelnia nie została zlikwidowana, a jej zakłady naukowe i kliniki należą do najnowocześniejszych i najpiękniejszych w kraju, zaś wychowankowie Akademii nie tylko zmienili oblicze sanitarne ziem północno-wschodnich, ale zajmują w całym kraju liczne wysokie i najwyższe stanowiska naukowe i organizacyjne, nie wyłączając stolicy. A ja wspominam w dniach starości z sentymentem piękno Białostoczczyzny, jej lasów, jej surowych zim, oraz czasy, kiedy byłem codziennie przed robotnikami, bo już o piątej rano na niejednej budowie, a później niejedną cegłę sam kładłem, w przenośni, a czasem dosłownie.

W Białymstoku niemal od początku udało mi się założyć (dzięki pomysłom Dra Stasiewicza, który „zageścił” administrację) i prowadzić klinikę ftyzjatryczną. Wprowadzaliśmy kolejno wszystkie nowości diagnostyczne i lecznicze, a po sprowadzeniu ze Szpitala w Hajnówce, spośród pierwszych drzew Puszczy Białowieskiej zakochanego w niej Dra Adama Dowgirda (później docenta) — mieliśmy już wielką chirurgię płuc oraz oddział ziny i konsultacje czołowych torakochirurgów polskich.

Nadszedł moment w roku 1955, w którym pierwsi absolwenci białostockiej akademii mieli otrzymać dyplomy. Zrozumiałem, że czas już najwyższy, by zacząć żyć normalnie, zając się swoim lekarskim i nauczycielskim zawodem, coś napisać i coś wydać i przestać stanowić wreszcie tarczę strzelniczą dla zawistnych, intrygantów i psychopatów. Sztachelski

obiecał mi więc, że mnie zwolni z funkcji rektora od nowego roku akademickiego i przyjął moje podanie. W dniu wydania pierwszych dyplomów dekorował mnie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

9

W marcu 1956 roku objąłem kierownictwo Katedry Ftyzjatrii Akademii Medycznej w Gdańsku, osieroconej przez cenionego przeze mnie organizatora ftyzjatrii polskiej — profesora Michała Telatyckiego. Moja decyzja pozostania już na tym stanowisku na stałe była kategoryczna, nie przyjąłem więc nawet narzucanej mi w dwa lata później, w 1958 roku, dyrektury Instytutu Gruźlicy w Warszawie. Chciałem być, jak pisałem i powtarzam, wreszcie lekarzem i nauczycielem akademickim, a nie administratorem, urzędnikiem.

Dwie osoby spośród dziewięciu lekarzy, zaangażowanych przez Telatyckiego, osoby po pięćdziesiątce, odeszły; młodszy przyjął chętnie i ze zrozumieniem do wiadomości zasadę, że klinika akademicka to tylko i przede wszystkim dobry szpital. W związku z tym leczenie chorych jest naszym pierwszym obowiązkiem, drugim dopiero — nauczanie studentów, a trzecim — praca naukowa. Drugi i trzeci obowiązek nie mogą nigdy, ani pod żadnym warunkiem, naruszać interesów ludzi, którzy nam swoje życie powierzyli i chcą wyzdrowieć.

Kierownikiem gdańskiej kliniki pozostałem do emerytury, to jest prawie dwadzieścia lat, zrzekając się tylko stopniowo obowiązków administracyjnych na rzecz adiunktów.

Prac naukowych dotyczących głównie, ale nie wyłącznie gruźlicy, wykonano w klinice w tym czasie i ogłoszono drukiem ponad sto, ale nie wiem* dokładnie ile, bo ich nigdy nie rachowałem. Były to prace asystentów; mojego nazwiska jako współautora nie dopisywałem. Odbitki tych prac mam zebrane, pięknie oprawione w czerwoną skórę w dwóch tomach. Niemal wszyscy asystenci uzyskali stopnie doktorskie, tak, iż mój dorobek jako promotora doszedł do liczby 30. Nie jest to zbyt dużo, jak na 31 lat wykonywania profesorskiego zawodu, ale przypominam, że przede wszystkim byliśmy lekarzami i nauczycielami, a ja prócz tego byłem długo dziekanem i rektorem. W oparciu o gdańską klinikę habilitowały się cztery osoby, z tego tylko jeden lekarz, będący istotnie i w pełni jej uczniem.

I wreszcie rzecz najważniejsza: w ciągu tych kilkunastu lat, które poświęciłem mojej lekarskiej specjalności — leczeniu gruźlicy i walce z gruźlicą, choroba ta przerodziła się z groźnej, zabójczej epidemii w schorzenie o wiele, wiele rzadsze i bardzo dobrze uleczalne; odczułem to tak jak żołnierz odczuwa zwycięstwo, bo nie byłem wprawdzie zwycięskim wodzem jak Selman Waksman, odkrywca streptomycyny, ale szeregowym żołnierzem byłem na pewno. Waksmana poznać miałem osobiście w Konstantynopolu w 1959 roku na Międzynarodowym Kongresie; tym razem okazał się wielki uczyony i dobroczyńca ludzkości człowiekiem skromnym, uroczym, który cieszył się jak dziecko, że Rosjanie (mówił wszak płynnie i chętnie po rosyjsku, bo tam się urodził i wychował) zdołali „trafić w księżyc” rakieta z emblematem swojej ojczyzny. Ale nie odbiegajmy.

W latach od 1961 do 1973 ukazały się cztery polskie i jedno rosyjskie wydanie mojej książki, zatytułowanej *Propedeutyka medycyny*. Miała to

być w mojej intencji pierwsza książka studenta medycyny pierwszego roku studiów, coś w rodzaju podręcznika, ale nie do nauki, lecz do przeczytania i przemyślenia. Książka miała powodzenie także u czytelników spoza zawodu i otrzymałem za nią nagrodę I-go stopnia Ministra Zdrowia. Chciałem napisać podobnie ujętą książkę dla studentów kończących studia, ale nigdy się na to nie zdobyłem, choć w zarysie wiem doskonale, o czym w niej będzie mowa. Czyżbym miał stracić nadzieję na napisanie jej już w ogóle?

Tragikomiczna, ale pouczająca jest historia wydania przez pewne wydawnictwo mojej monografii pt. *Elementy etiologii gruźlicy człowieka*. Problem przyczyn choroby gruźliczej człowieka jest tam przedstawiony oryginalnie, inaczej niż w klasycznych podręcznikach, omówione są nowe dowody dziedziczenia się skłonności do tej choroby, oparte na pracy porównawczej, wykonanej równocześnie w mojej klinice i klinice paryskiej profesora Etienne Bernard itd. Niestety, nie zauważyli tego dwaj recenzenci, omawiający ją w fachowej prasie, bo jej nie przeczytali! A nie przeczytali, bo była wydana tak beznadziejnie brzydko, drobnym drukiem na niemal gazetowym papierze. Taką była w roku 1965 oszczędnościowa moda, ale i tak niesumienni byli koledzy recenzenci. Nie chciało mi się wszczynać z nimi polemiki, do jednego tylko (St. H.) napisałem list, zapytując go, czemu nie przeczytał?

Z innych przyczyn nie znalazła pełnego zrozumienia książka o odpowiedzialności uczonych, którą wydałem w roku 1970 i której też broniłbym do dziś. Jest u nas jednak jeszcze sporo uczonych, którzy pojęcie wolności nauki interpretują — jakby to delikatnie powiedzieć? — bez głębszego zastanowienia się nad tym pojęciem. Wolność nauki — to, oczywiście, prawo do interpretowania faktów tak, jak się sądzi, że należy je rozumieć, interpretować i głosić, ale to nie jest równocześnie prawo do prowadzenia takich badań, jakie dyktuje fantazja. Fundusze na badania nie są nieograniczone, trzeba więc dokonywać selekcji tematów, a selekcji nie można, niestety, pozostawić fantazji samego badacza. Moralne oblicze posiadają poza tym nie tylko i dopiero zastosowania odkryć, dobre lub złe („nożem można krajać chleb, albo zabić człowieka” — jak pisał Stanisław Mazur), ale mogą być dobre, albo złe już w samej intencji — np. poszukiwanie nowych leków albo poszukiwanie nowych broni ludobójczych.

Dość dużą popularność zdobyła moja książka o śmierci, pod nieco eufemistycznym tytułem *Rozmyślenia o przemijaniu*, wydana w roku 1975 i ponownie w 1976. Książka ta zrobiła mi opinię znawcy zagadnienia śmierci, tanatologa, opinię niekoniecznie przyjemną dla klinicysty, który chce przecież przede wszystkim leczyć. Pojęcie leczenia, jak wyjaśniałem w wielu artykułach w prasie fachowej, i ogólnie dostępnej, nie jest jednak synonimem przywracania zdrowia. Ludzi chorych beznadziejnie — a wszyscy raz w życiu przecież beznadziejnie chorujemy — także trzeba leczyć, bo należy zwalczać ich cierpienie, co także jest jednym z podstawowych zadań lekarza.

Sprawą sztuki przynoszenia ulgi cierpiącym fizycznie i moralnie w ostatniej chorobie zajmowała się kierowana przeze mnie klinika przez kilka lat dlatego, że miejsce chorych na gruźlicę zajęli w niej chorzy na nieuleczalnego raka oskrzela (raka płuc). Twierdziłem i twierdzę, że sztuka przynoszenia ulgi umierającym jest niedoskonała, ale mogła by zostać znacznie udoskonalona, gdyby nie panowała zasada, iż człowiek nieule-

czalnie chory zajmuje niepotrzebnie w szpitalu miejsce, na którym można by położyć z pożytkiem (może i ekonomicznym? — bo ekonomia rządzi światem, a nie abstrakcyjna etyka) człowieka uleczalnego. Jest to bardzo brutalna zasada, a niesłuszna tym bardziej, że istnieje wiele innych sposobów rozładowania tłoku w szpitalach.

Tyle o moich publikacjach, a teraz parę słów o moich powojennych kontaktach z Francją i w ogóle podrózkach naukowych.

Byłem po wojnie jako profesor kilka razy w Anglii i we Francji, byłem w Turcji, we Włoszech, w Finlandii, nawet w Indiach, ale w sumie podróżowałem mało. Wiele razy rezygnowałem z atrakcyjnego wyjazdu, bo nie zezwalała na to praca w dziekanacie lub rektoracie, a później, kiedy się z prac w administracji akademickiej wyzwoliłem, podróżowali już inni, koledzy, którzy sobie odpowiednie pozycje zdobyli, a zresztą byli dzielni, wartościowi, młodszy.

W roku 1958 byłem kilka tygodni we Francji i zwiedzałem akademickie domy posanatoryjne, założone, jak pisałem, według moich projektów, a nawet regulaminów. Znano mnie tam z nazwiska jako „przodka”; bo moje nazwisko było cytowane we francuskich podręcznikach, dziwiono się więc, że nie jestem „starcem z siwą brodą” jak na podręcznikowego mędrca przystało. Byłem w Paryżu, pod Paryżem, w Alpach i na Riwierze (w Vence).

W Paryżu odwiedzałem stare kąty i starych przyjaciół, w tym prof. Van Deirse, pracującego jeszcze (ostatni rok przed emeryturą) w Instytucie Pasteura. Zaprosił mnie na obiad do domu, żeby mi przedstawić syna — lotnika wojskowego, który właśnie wrócił z Algierii, gdzie walczył przeciwko powstańcom. Podzielałem radość rodziców z odzyskania syna i zapytałem młodego lotnika, czy się nie bał. „A czegoż mógłbym się bać” — odpowiedział. „Latałem wszak odrzutowcem, a przeciwko moim karabinom maszynowym mogli Algierczycy wystawiać tylko swoje pięści lub rzucać kamieniami, bo są przecież prawie nie uzbrojeni!”. Moja stara miłość do Francji narażona była na ciężką próbę...

Dwa razy wygłaszałem na zaproszenie referaty na posiedzeniach Académie Nationale de Médecine, której członkiem korespondentem wybrano mnie wreszcie w roku 1963 jak wówczas jedynego Polaka w jej składzie i pierwszego Polaka od kilkudziesięciu lat.

Wybory były tajne, wszyscy członkowie rzeczywiście (około stu osób) otrzymali francuskie streszczenia moich prac i osiągnięć, w ostatniej jednak chwili okazało się, że moim kontrkandydatem na wakujący fotel jest Amerykanin, Filip Hench, który w roku 1950 otrzymał nagrodę Nobla za wprowadzenie kortyzonu do terapii. Groźny rywal! W tajnym głosowaniu pokonałem jednak laureata Nobla. Dlaczego? Myślę, że dlatego, że mnie wielu członków Akademii osobiście znało, a jego nie, że ja mówiłem bardzo dobrze po francusku, a on nie i że Amerykanów było zawsze wielu wśród korespondentów zagranicznych, a oto nawinął się egzotyczny Polak. Tak to jest z wyborami do wszystkich akademii nauk świata. Hench otrzymał kolejny wolny fotel.

Z okazji swego 150-lecia, obchodzonego w roku 1972, uczyniła mi paryska Akademia wielki zaszczyt, zlecając wygłoszenie na uroczystym posiedzeniu jednego z programowych sześciu referatów; tytuł mojego referatu brzmiał *Le droit à la santé et le droit d'être malade*, a jego tezą była obrona społecznych i obywatelskich praw ludzi chorych oraz fizycznie lub psychicznie niedoskonałych. Akademia przyznała mi też nagrodę

naukową i dożywotni tytuł jej laureata; moim rewanżem za to było kierownictwo naukowe francusko-polskiego i polsko-francuskiego słownika lekarskiego, opracowanego przez Dra Brunona Neumana. W kraju uzyskałem dwa wyróżnienia, które cenię sobie wysoko: doktoraty *honoris causa* Akademii Medycznych w Białymstoku (1965) i Lublinie (1975). Cenię sobie także nagrody naukowe i członkostwa honorowe Towarzystw Naukowych, którymi mnie zaszczycono.

Publicystycznie angażowałem się wiele razy w walkach o sprawy, które wydawały mi się słuszne. W latach 1957 i 1958 polemizowałem w prasie z pasją, jeszcze wówczas prawie młodzieńczą, z przeciwnikami legalizacji przerywania ciąży ze wskazań społecznych. Nie po raz pierwszy obserwowałem wówczas stosowanie nieetycznych metod polemicznych przez środowiska, mieniące się obrońcami moralności. Nazywano mnie „zwolennikiem przerywania ciąży”, choć powtarzałem raz po raz, że jestem zwolennikiem planowania ciąży, a przeciwnikiem umierania kobiet i dziewcząt w następstwie zabiegów wykonywanych nielegalnie, brudno, prymitywnie, przez osoby do tego fachowo nie kwalifikujące się. Nie cofano się też przed innymi oszczerstwami, co przypomniało mi czasy Boya, którego zresztą znałem i radziłem się, próbując kilka lat przed wojną założyć wspólnie z dr Michaliną Pawlukową drugą po Warszawie poradnię świadomego macierzyństwa we Lwowie. Boy nam odradził, kazał czekać, aż poradnia warszawska przełamie lody ciemnoty i złej woli. Nie przeczuwał nieszczęsny Boy, jak długo trzeba będzie czekać.

* *

* *

W roku 1965 odwiedziłem w Londynie założyciela pierwszego na świecie telefonu zaufania, jedyne dotąd wartościowego oręża w walce z samobójstwami, rektora anglikańskiej parafii w City — Edwarda Chad Varah. Parafia ta tym się charakteryzuje, że nie ma parafian, bo nikt w tej dzielnicy nie mieszka i rektor może poświęcić się całkowicie swojej specjalności, walce z plagą samobójstw. Zaprzyjaźniliśmy się szczerze z Chad Varah, odwiedzałem go ponownie w Londynie, a on sam był dwa razy w Polsce i pomógł nam założyć w Gdańsku pierwszy polski telefon zaufania.

W gdańskim telefonie zaufania dyżurują pod łatwym do zapamiętania numerem 31 00 00 wyłącznie ochotnicy, a więc ludzie pracujący społecznie, przez nikogo nie opłacani. Tak jak Chad Varah jesteśmy w Gdańsku zdania, że człowiek zrozpaczony, który by poszukiwał porady kapłana (dowolnej religii) lub lekarza (np. psychiatry), łatwo ich znajdzie i poradę uzyska; ale człowiek zrozpaczony szuka nie kapłana czy lekarza, ale przyjaciela, który by go chciał wysłuchać, trudno zaś sobie wyobrazić, by można było być przyjacielem za pieniądze, przyjacielem „zawodowym”, opłacanym. W Gdańsku są liczni specjaliści, a więc psychiatry i lekarze innych specjalności, adwokaci i sędziowie dla nieletnich, działacze społeczni itd., doradcami organizatorów telefonu, natomiast dyżurują ludzie młodzi i starsi wszelkich możliwych zawodów, jeżeli w okresie próbnym wykażą się zdolnością prawdziwego i szczerego współczucia ludzkim kłopotom, z jakim zrozpaczeni telefonujący się zwracają.

* * *

Jako że pisałem życiorys naukowy i zawodowy, a nie życiorys prywatny, prawie nie pisałem, poza wstępem, o moich sprawach rodzinnych i osobistych. Na zakończenie podam nieco danych stylem telegraficznym:

Ożeniłem się w 45-ym roku życia, a więc w wieku o rok młodszym niż mój dziadek Władysław. Żona moja nosi dobrze pasujące do Tadeusza imię Zofii i cierpliwie znosi pewną abnegację życiową zbyt wiele czytającego i pisującego męża. Syn nasz — Maciej — jest prawnikiem.

Doceniałem w życiu znaczenie wypoczynku, rozrywki, wakacji, sportu. Polskę w granicach powojennych przejeździłem samochodem drogami i niemal ścieżkami, poznając kąty i zakątki. Póki mogłem, chodziłem w Tatry, poznając większość dróg turystycznych i niektóre wspinaczkowe, do czego nakłaniał mnie dobry kolega lwowski Stanisław Groński, późniejszy „Mojżesz”, tragicznie zaginiony w lodowcach Mont Blanc. W roku 1929 zdobyłem parę łatwych dróg w Dolomitach włoskich w okolicy Cortina d’Ampezzo i w Alpach francuskich.

W czerwcu roku 1933 uległem ciężkiemu wypadkowi motocyklowemu z pięknym podstavą czaszki. Speszony, miałem już w roku 1934 stary samochód. Na wiosnę roku 1939 uczyłem się wspaniałej sztuki latania na szybowcu w Czerwonym Kamieniu pod Lwowem i gdyby nie wojna, byłbym na pewno pozostał wierny tej sztuce.

Muzyka odgrywała zawsze i odgrywa wielką rolę w moim życiu, ale po wojnie nie mogłem już ćwiczyć ani nawet grać na skrzypcach. Moje gusta muzyczne zmieniały się; moimi bogami byli i Bach, i Beethoven, Rachmaninow, Czajkowski, Prokofiew i Borodin, ale także Ryszard Strauss, wreszcie Igor Strawiński. Nie lubiłem i nie lubię Szymanowskiego, interesuje mnie Penderecki, ale królem kompozytorów mojego wieku dojrzałego i starości jest znowu romantyk, Robert Schumann.

Psy, małe i duże, rasowe, choć może raczej kundle, były zawsze i są mi istotami prawie tak bliskimi jak ludzie. Niemal zawsze miałem własne, bo żona nie różni się pod względem tej miłości ode mnie wcale. W czasie długich godzin samotności, które są nieodłącznym atrybutem starości, rozmawiam z psami na różne tematy, bo znam psi język doskonale. Niezwykle piękne i ciekawe rzeczy opowiadają mi te szlachetne istoty, ale nie wolno mi, niestety, tych tajemnic zdradzać nikomu.

* * *

Czytam chętnie i dużo. Wcale nie pogardzam dobrą powieścią, kryminałem. Zdaje mi się, że pod niektórymi względami pozostałem młody; nie mogąc już na przykład uprawiać sportu, pozostałem zapalonym kibicem i dyskutuję na tematy sportowe z młodymi bez obawy o kompromitację. Kiedy byłem rektorem UMCS urządzili studenci turniej ping-ponga i poprosili mnie o udział. Przyjąłem chętnie, grałem przecież nieźle, mimo że z młodzieżą przegrywałem. Poważni ludzie mieli jednak udział w tym turnieju Jego Magnificencji bardzo za złe i może mieli rację; dlatego przyznają się do winy dopiero w ostatnich słowach naukowego życiorysu.

Gdańsk, sierpień 1977 r.



Ryc. 1. Autor w towarzystwie Doc. dr Heleny Schuster i Prof. dra Witolda Nowickiego (rok 1933)*

Рис. 1. Автор с доцент д-р Хеленой Шустер и проф. д-р Витольдом Новицким (1933 г.)*

Phot. 1. L'auteur accompagné de doc. dr Helena Schuster et de prof. Witold Nowicki (en 1933)*

Abb. 1. Autor in der Gesellschaft der Dozentin Dr. Helena Schuster und Prof. Dr. Witold Nowicki (1933)*

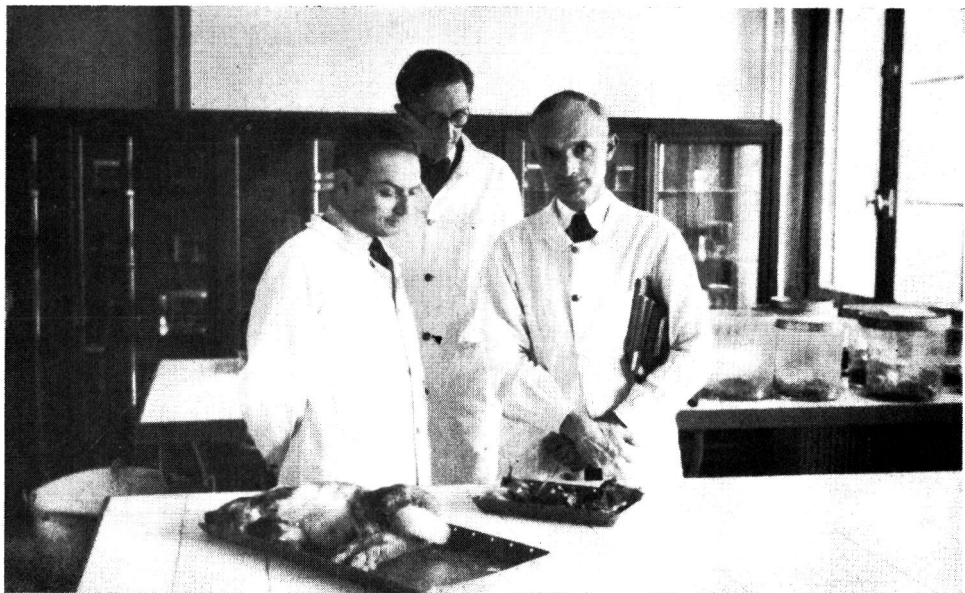


* Wszystkie zdjęcia ze zbiorów własnych Autora.

* Все снимки из архива Автора.

* Toutes les photos de la collection privée de l'auteur.

* Alle Bilder stammen aus den Privatsammlungen des Verfassers.



Rys. 2. W Instytucie Pasteura w Paryżu. Od lewej: Dr Ewangelos Lukidis, autor, prof. Fr. Van Deinse (rok 1936)

Рис. 2. В Институте Пастера в Париже. Слева направо: д-р Эвангелос Люкидис, автор, проф. д-р Фр. Динсе (1936 г.)

Phot. 2. A l'Institut Pasteur à Paris. De gauche: dr Ewangelos Lukidis, l'auteur, prof. F. Van Deinse (en 1936)

Abb. 2. Im Pasteurinstitut in Paris. Von links: Dr. Ewangelos Lukidis, Autor, Prof. Fr. Van Deinse (1936)



Ryc. 3. Autor w stopniu majora — lekarza Odrodzonego Wojska Polskiego (rok 1944)

Рис. 3. Автор в звании майора — врача Польского Войска (1944 г.)

Phot. 3. L'auteur en tant que médecin au grade de commandant de l'Armée
Polonaise (en 1944)

Abb. 3. Autor als Arzt im Rang des Majors des Erneuten Polnischen Heeres (1944)



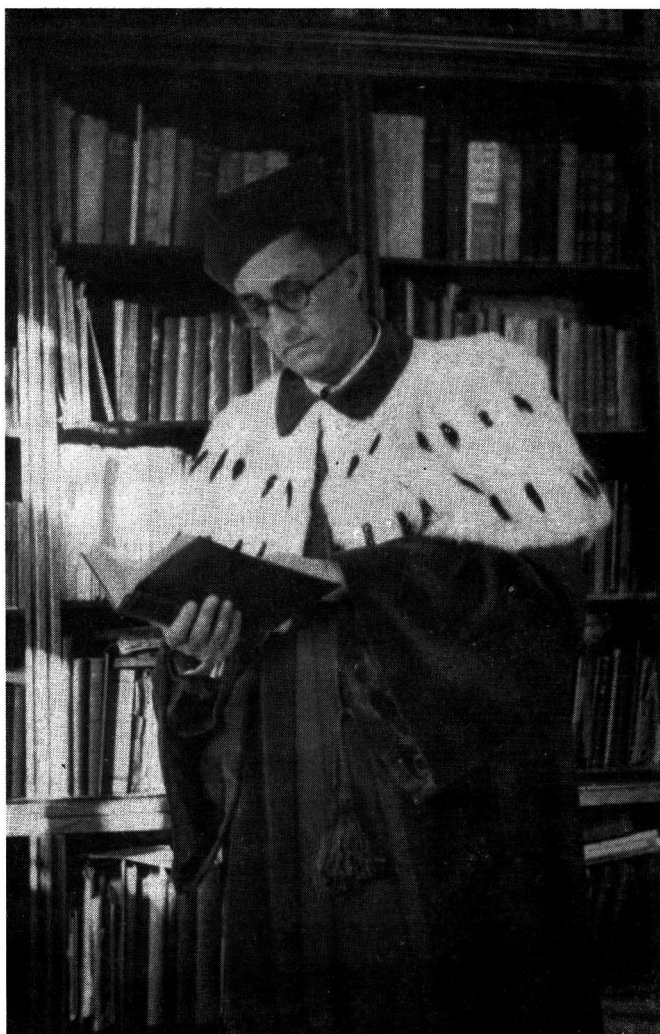


Рис. 4. Автор jako rektor Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej (lata 1948—1950)

Рис. 4. Автор на должности ректора Университета Марии Кюри-Скловдовской в Люблине (1948—1950 гг.)

Phot. 4. L'auteur en tant que recteur à l'Université Marie Curie-Skłodowska (les années 1948—1950)

Abb. 4. Autor als Rektor der Maria Curie Skłodowska-Universität (1948—1950)



Рис. 5. Автор на Międzynarodowym Kongresie Medycyny Neohipokratesowej w Montecatini — Terme we Włoszech (rok 1956)

Рис. 5. Автор на Международном Конгрессе Неогиппократиков в Монтекатини — Терме в Италии (1956 г.)

Phot. 5. L'auteur au Congrès International de Médecine Néohippocratique à Montecatini — Terme en Italie

Abb. 5. Autor im Internationalen Kongress der neohipokratischen Medizin in Montecatini-Terme in Italien (1956)



Ryc. 6. Autor w prezydium Międzynarodowego Kongresu w sprawie kształcenia lekarzy w New Delhi w Indiach (rok 1964)

Рис. 6. Автор в президиуме Международного Конгресса по обучению врачей в Нью Делли в Индии (1964 г.)

Phot. 6. L'auteur au présidium du Congrès International concernant la formation professionnelle des médecins à New Delhi en Inde (en 1964).

Abb. 6. Autor im Präsidium des Internationalen Kongresses für Bildung der Ärzte in New Delhi in Indien (1964)



Ryc. 7. Autor wygłasza podziękowanie za przyznany mu doktorat *honoris causa* Akademii Medycznej w Białymstoku (rok 1965)

Рис. 7. Автор благодарит за присуждение ему степени доктора *honoris causa* Медицинской Академии в Белостоке. (1965 г.)

Phot. 7. L'auteur prononce le remerciement à l'occasion de recevoir le titre *honoris causa* lui attribué par l'Académie de la Médecine à Białystok (en 1965).

Abb. 7. Autor bedankt sich für die ihm erteilte Würde eines Ehrendoktors der Akademie für Medizin in Białystok (1965)





Rys. 8. Po uroczystej promocji w Akademii Medycznej w Lublinie. Od lewej: Promotorzy: prof. dr H. Mysakowska, prof. dr Z. Papliński i prof. dr M. Zakryś. Doktoranci *honoris causa*: prof. dr T. Krwawicz, prof. dr F. Skubiszewski, oraz autor (rok 1974)

Рис. 8. После торжественной промоции в Медицинской Академии в Люблине. Слева направо : проф. д-р Х. Мысаковска, проф. д-р З. Паплиньски, проф. д-р М. Закрьсь. Докторанты *honoris causa*: проф. д-р Т. Крвавич, проф. д-р Ф. Скубишевски, автор (1974 г.)

Phot. 8. Après la promotion solennelle à l'Académie de la Médecine à Lublin. De gauche: les promoteurs — prof. dr H. Mysakowska, prof. dr Z. Papliński et prof. dr M. Zakryś; les candidats au doctorat *honoris causa* — prof. dr T. Krwawicz, prof. dr F. Skubiszewski et l'auteur (en 1974)

Abb. 8. Nach der feierlichen Doktorpromotion an der Akademie für Medizin in Lublin. Von links: promovierende Professoren: Prof. Dr. H. Mysakowska, Prof. Dr. Z. Papliński und Prof. Dr. M. Zakryś. Doktoren *honoris causa*: Prof. Dr. T. Krwawicz, Prof. Dr. F. Skubiszewski und Autor (1974)



Ryc. 9. Autor w kierowanej przez niego Klinice Chorób Płuc Akademii Medycznej w Gdańsku (rok 1975). Fot. S. Figlarowicz

Рис. 9. Автор в руководимой им Клинике Заболеваний Легких Медицинской Академии в Гданске. (1975 г.). Фот. С. Фиглярович

Phot. 9. L'auteur à la Clinique des Maladies Pulmonaires, dirigée par lui, de l'Académie de la Médecine à Gdańsk (en 1975). Phot. par S. Figlarowicz

Abb. 9. Autor in der von ihm geleiteten Lungenklinik an der Akademie für Medizin in Gdańsk (1975). (Aufnahme von S. Figlarowicz)

T. Келяновски

АВТОБИОГРАФИЯ

1. Семья. Музыка, иностранные языки. Первая мировая война. Школа и экзамены на атестат зрелости во Франции. 2. Юридический факультет в Парижском университете. Книги. Поляки в Париже двадцатых годов. 3. Медицинский факультет в Львовском университете. Общественная проблема туберкулеза. Дипломная работа, диссертация на соискание научной степени доктора, ассистентура. 4. Специализация зарубежом. Берлин, Дюссельдорф. Париж — Института Пастера. Англия. 5. Специализация в клинической фтизиатрии. Общежитие для студентов болеющих туберкулезом. Лекции в Швейцарии. 6. Вторая мировая война и оккупация во Львове. Научная работа. Судьба профессоров. 7. 1944 г. В армии. Создание Университета Марии Кюри-Склодовской в Люблине. Должность декана и ректора. Лондон 1948 г. 8. Строительство Медицинской Академии в Белостоке. 9. Гданск. Руководство клиникой. Научная и общественная работа. Публицистика, книги. Научные путешествия. Академия Медицинских Наук в Париже. Телефон Доверия. Пенсия.

T. Kielanowski

L'AUTOBIOGRAPHIE

1. La famille. La musique, les langues étrangères. La Première Guerre mondiale. L'école et le baccalauréat en France. 2. Les études de droit à Paris. Les lectures. Les Polonais à Paris des années vingt. 3. Les études de médecine à Lvov. Le problème social de la tuberculose. Le diplôme, le doctorat, le poste d'assistant. 4. La spécialisation à l'étranger. Berlin, Düsseldorf. Paris — l'Institut Pasteur. L'Angleterre. 5. La spécialisation en physiologie clinique. La maison d'étudiants pour des étudiants souffrant la tuberculose. Les cours en Suisse. 6. La guerre et l'occupation à Lvov. Le travail professionnel. Le sort des professeurs. La musique cultivée clandestinement. 7. L'année 1944. Dans l'armée. La création de l'Université Marie Curie-Skłodowska. Les fonctions de doyen et de recteur. Londres 1949. 8. La construction de l'Académie de la Médecine à Białystok. 9. Gdańsk. La direction de la Clinique. Le travail scientifique et l'activité sociale, le journalisme, les livres, les voyages scientifiques. L'Académie des Sciences Médicales à Paris. Le Téléphone de Confiance. La retraite.

T. Kielanowski

AUTOBIOGRAPHIE

1. Familie. Musik. Fremdsprachen. Des erste Weltkrieg. Schule und Reifeprüfung in Frankreich. 2. Jurastudium in Paris. Lektüren. Die Polen in Paris der zwanziger Jahre. 3. Medizinstudium in Lwów. Das gesellschaftliche Problem der Tuberkulose. Diplom, Doktorat, Assistentenstellung. 4. Spezialisierung im Ausland.

Berlin, Düsseldorf, Paris-Pasteurinstitut. England. 5. Spezialisierung auf klinische Lungenheilkunde. Studentenheim für lungenkranke Studenten. Vortrag in der Schweiz. 6. Krieg und Okkupation in Lwów. Berufsarbeit. Schicksal der Professoren. Geheime Musikpflege. 7. Das Jahr 1944. Im Heer. Gründung der Maria Curie Skłodowska-Universität. Stellung des Universitätsdekans und Rektors. London 1949. 8. Bau der Akademie für Medizin in Białystok. 9. Gdańsk. Leitung der Klinik. Wissenschaftliche und gesellschaftliche Arbeit, Publizistik, Bücher, Studienreisen. Akademie für medizinische Wissenschaften in Paris. „Vertrauenstelefon“. Im Ruhestand.